NUMER 15

LATO 2005

INNE PLANETY

Jęczymyk
Wnuk-Lipiński
Guzek
Szyda
Sobota
Michałowska
Grygorowicz

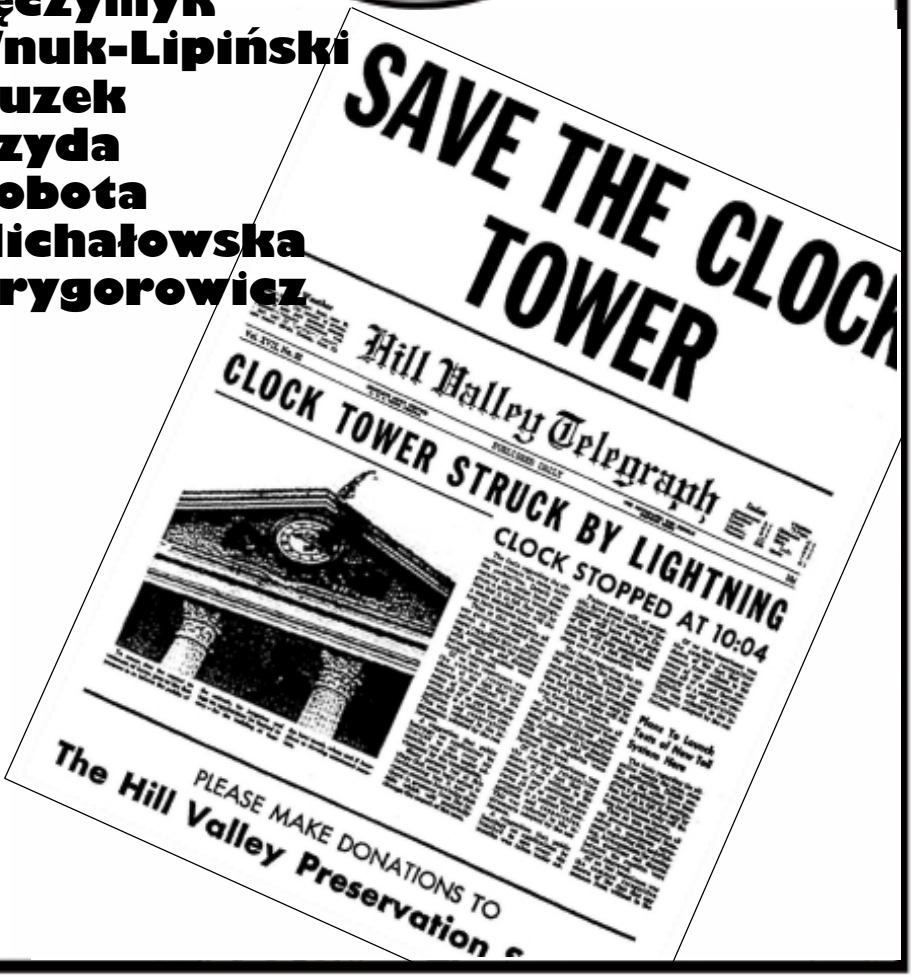

POLSKA FANTASTYKA: LITERATURA • MUZYKA • FILOZOFIA

Kłaniam się szanownym czytelnikom!

Numer ten, najprawdopodobniej będzie miał swoją premierę wtedy, kiedy zapętli się czas i oto po 20-tu latach dokładnie w tym samym miejscu co po raz pierwszy, w podpoznańskim Błażejewku odbędzie się 20-ty Polcon, czyli ogólnopolski konwent miłośników fantastyki. Równocześnie małe jubileusze obchodzimy na „wielkopolskiej scenie fanzinów" bo oto trzymacie w rękach 15-ty numer „innych Planet". A gdyby nie obciążenie związane z organizacją tak okazałego konwentu, trzymalibyście również 25-ty numer „deZinformatora" – starszego brata „innych Planet".

A poza tym jubileuszów mamy ile chcemy. Np. dokładnie 50 lat temu Stanisław Lem ukończył okrągłe 34 lata.

W takiej sytuacji, w obecnym numerze nie mogliśmy zrobić inaczej, jak zmierzyć się z zagadnieniami czasu. I zrobiliśmy to systemowo i systematycznie.

Po pierwsze zapragnęliśmy, żeby osiągnąć brzmienie jak najbardziej zbliżone do tego sprzed lat. W tym celu odkurzyliśmy specjalne analogowe oprogramowanie DTP z 1996 roku, które następnie zostało uruchomione na symulatorze komputera z Windows '95 i 133MHz i 16MB pamięci. Firma (tu nie podamy nazwy) na nasze wyłączne zlecenie wyprodukowała wierną replikę drukarki serii 600, napełnianej wyjątkowej jakości tuszem do piór Pelikan. Następnie zasiedliśmy przed 14-calowym ekranem monitora o odświeżaniu 65Hz i zabraliśmy się do dzieła, którego efekt końcowy możecie właśnie podziwiać.

Autorzy zadumali się, przyjęli filozoficzne pozy. Dzień i noc rozważali istotę czasów przyszłych, przeszłych, liniowych, okrągłych, zapętlonych, równoległych. Na pniu tworzyli nowe i odświeżali stare koncepcje czasu.

O czasie opowiedział nam niepowtarzalny Jacek Sobota, mistrz ironicznej filozofii życia i Wojtek Szyda – teoretyczny i praktyczny znawca połączeń fantastyki i religii. O Chronosie poczytamy w opowiadaniu Jerzego Grygorowicza – drugiej części tryptyku opowiadającego o grze w go oraz w felietonach z cyklu „Metafizicon" i „Kresy Literatury".

Powrót do sztandarowych powieści polskiego SF lat osiemdziesiątych zafunduje nam rozmowa z Edmundem Wnukiem-Lipińskim. Spojrzenie na świat z dystansu sprezentuje nam ponownie Lech Jęczmyk w felietonie z cyklu „Nowe Średniowiecze", a spojrzeć w bliską przyszłość literatury możemy czytając recenzje trzech świetnych debiutów powieściowych: Susanny Clarke, Jarosława Grzędowicza i Wojciecha Szydy.

Prezentujemy też solidny kęs literatury – opowiadanie Iwony Michałowskiej oraz apokryf „Biblioteka" wywodzący się z poznańskiego teatru „U Przyjaciół".

Staraliśmy się, żeby było oldskulowo. Na przykład autorzy w starym stylu przekroczyli wszystkie możliwe deadline'y na dostarczenie produktów przemiany myśli. Wszystko zostało wykonane w pieczołowicie wymuskanym niedoczasie i drobiazgowo przygotowanej ostatniej chwili.

A to że numer w końcu zadedykowaliśmy planecie czasu? To chyba rozumiecie, że to lekka mistyfikacja? Bo czy ktoś z Was kiedykolwiek słyszał o takowej? Nikt z redakcji sobie nie przypomina takiego ciała niebieskiego. Jednak jeżeli któryś z czytelników wskaże nam niezbicie, że takowa planeta istnieje, choćby w najbardziej fikcyjnej fikcji – pomyślimy nad honorami dla tej osoby. A tak naprawdę, to numer ten dedykujemy nie planecie czasu, ale wehikułowi czasu oraz jego twórcy – panu Wellsowi. Temu samemu o którym Chesterton pisał: *„Nocą, natężając słuch w ciemności i ciszy, można czasem usłyszeć cichutki szelest – to pan Wells niestrudzenie się rozwija."* Albo: *„Pan Wells nie do końca zdołał się wyzwolić z ciasnoty naukowego podejścia do świata ... umysł pana Wellsa, tak pierwszorzędnie wyposażony, ma niestety tę skazę, że nigdy nie bierze poprawki na ciemną materię duszy ludzkiej."* Lub jeszcze to: *„Pan Wells mógłby zacząć rosnąć coraz wyżej i wyżej, przez niekończące się eony, aż jego głowa wystawała by wyżej niż najdalsza gwiazda"* (perfidnie wyjęte z kontekstu).

Zapraszam do lektury.

Ostatni piąty sygnał oznacza godzinę dwunastą.

Krzysztof Głuch

spis rzeczy

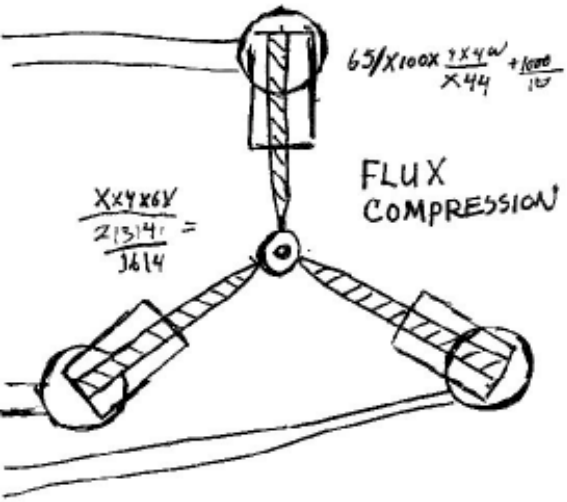

felietony zapętlone

Jacek Sobota
Wyznania idioty 13
Wojciech Szyda
Prowokacje kontrolowane 16
Krzysztof Głuch
Kresy literatury 20
Lech Jęczmyk
Nowe Średniowiecze 23
Jacek Sobota
Drugie wyznanie idioty 34
Paweł Ostrowski
Nauka o fikcji 52
Mutant 57
Tomasz B.
Planeta absurdu 56
Tomasz B. zwany Koniem
Metafizicon 62

krytyka linearna

Maciej Guzek
Pamiętaj mnie z nosem w książce 47
Maciej Guzek
Polska Pieśn Lodu i Ognia? 50
Szymon Urbanowicz
Instynkt a [wirtualna] rzeczywistość 50
Redakcja by e-mail
Kim są Golcy? 40

wywiad okresowy (rozpadu połowicznego)

Edmund Wnuk-Lipiński
Opowieść o Strefie w każdym z nas 26

wiersz jutra

Cyprian Kamil Norwid
Encyklika oblężonego (oda) 15

proza paradoksu

Iwona Michałowska
Ostatnie słowo 4
Wojciech Jerzy Grygorowicz
Historia niezwykła jak GO 30
Marta Zapędowska
Biblioteka 66

publicystyka równoległa

Michał Protasiuk
Baśnie betonowych metropolii 36
Michał Protasiuk
Droga do chaosu 58

Ostatnie Słowo

Iwona Michałowska

Stałem na rozległej, smaganej wiatrem równinie. Tu, wewnątrz murów cmentarza, dmuchało trochę słabiej, ale i tak stróż wciąż przechadzał się między alejkami, podnosząc poprzewracane wazony i zapalając znicze. Może po prostu mu się nudziło.

– Był pan przyjacielem pana Rublowa? – zapytał, zatrzymując się obok mnie.

Cmentarz był niewielki, złożony z kilkudziesięciu mogił. Tylko na niektórych nagrobkach widniały nazwiska.

– Większość jest pochowana tam. – Zrobił ruch głową w kierunku zamkniętego obszaru byłej kopalni i uśmiechnął się, błyskając złotym zębem. – Tu leżą tylko ci biedacy, którzy jeszcze żyli, gdy ich stamtąd wyciągano.

Był dość stary, by dobrze pamiętać tamte czasy.

– Czy on... czy Pablo – użyłem hiszpańskiego imienia Rublowa – dowiedział się przed śmiercią, że jego dziennik został odczytany?

Stróż wzruszył chudymi ramionami.

– Pewnie i tak by tego nie zrozumiał.

Ruszyłem w stronę bramy. Podreptał za mną.

– Nie wygląda pan na Rosjanina – odezwał się. – Ach, tak – przypomniał sobie – przecież on wcale nie był Rosjaninem. A właściwie to kim był?

Uśmiechnąłem się. Minęło tyle lat, że spokojnie mogłem mu powiedzieć całą prawdę.

* * *

Czy zastanawialiście się kiedyś, co łączy słowo z jego znaczeniem? Ja też nie. Dopóki wiązania nie zaczęły pękać.

– Murzyn – powiedziałem tamtego dnia – coś się dzieje ze słowami.

Spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

– Niby co?

Wzruszyłem ramionami.

– Sam chciałbym wiedzieć. Czasem jakby się koło mnie prześlizgiwały.

– Zawsze byłeś roztargniony, Kojot.

– To nie to. Z innymi jest tak samo. Dzisiaj trzy razy musiałem powtarzać babie w sklepie, że chcę pół chleba i mleko.

– I co, masz to mleko?

– Mam.

– To dawaj, bo kawa stygnie.

– Co?

– Kawa. Stygnie.

– Stygnie. Aha. Proszę.

Tydzień później Murzyn nie była już taka pewna, że fantazjuję.

– Wiesz – mówi – listonosz wczoraj nie przyszedł. Dzisiaj przysłali innego gościa. Podobno tamten się upił i nie poroznosił listów. Ciekawe, bo tyle lat chodzi po tych melinach i jeszcze go nie widziałam pijanego.

– Amnezja?

Pokręciła głową.

– Twierdzi, że adresy były niewyraźnie napisane.

– Masz jakąś teorię?

Skrzywiła się.

– Wiesz, co to jest afazja semantyczna?

Pokręciłem głową. Sądząc z nazwy, musiało to być coś skomplikowanego.

– Choroba polegająca na niezdolności do kojarzenia słów z ich materialnymi odpowiednikami.

– Co ją wywołuje?

– Wrodzone lub udarowe uszkodzenie mózgu.

– Odpada. To musi być jakiś wirus.

– Atakuje nas czy słowa?

– Nas, słowa, rzeczy. Nie wiem.

Przejechała dłonią po blacie stołu.

– Zauważyłeś, że rzeczy właściwie nie istnieją, póki się ich nie nazwie? Weźmy na przykład ten stół. Ktoś kiedyś wymyślił i zbudował prototyp. Ale dopiero nadanie nazwy sprawiło, że nie trzeba każdego kolejnego stołu wymyślać od nowa. Słowo stało się matrycą do tworzenia kolejnych egzemplarzy tego samego gatunku.

– Chcesz powiedzieć, że zapominając słowo, zapominamy istotę rzeczy?

– Czekaj no... Któryś ze starożytnych filozofów głosił istnienie niematerialnych, wzorcowych form wszystkich rzeczy i stworzeń. Wyobraź sobie formę do ciasta w kształcie stołu. Gdy mówię „stół", moje słowo wlewa się do tej formy, tężeje i mamy gotową rzecz. – Popukała palcem w blat.

– A teraz? Myślisz, że coś atakuje słowa, nim wpadną do form?

– Może tak... A może ktoś dziurawi formy i wypuszcza substancję.

– Kto?

Uśmiechnęła się krzywo.

– Bezimienny.

* * *

Nim zobaczyłem w telewizji Fritza Reubera, formy stały się dziurawe jak sito. Listonosza dawno już zdjęto z drzewa, na którym dyndał, i pochowano pod płotem. Murzyn i ja jakoś się trzymaliśmy, bardziej siebie nawzajem niż czegokolwiek innego.

Natrafiłem na program przypadkiem, przerzucając kanały jak małpa.

– Panie profesorze – mówił prowadzący – przez wiele lat wykładał pan chemię na Uniwersytecie Buenos Aires, przyjął pan nawet obywatelstwo argentyńskie. Dlaczego nagle postanowił pan wrócić do kraju?

– Rząd Argentyny nie jest uczciwy wobec swoich obywateli ani wobec reszty świata. Jak pan zapewne wie, w południowej części kraju eksploatowane są bogate złoża andynu. Są to jedyne znane złoża tego metalu na świecie. Niestety, wciąż istnieje wiele niejasności związanych z jego właściwościami. Badania dają sprzeczne rezultaty. Uważam, że powinno się poczekać z komercyjnym wdrożeniem metalu do momentu jego dokładnego poznania. Tymczasem już od kilkunastu lat Argentyna bogaci się na sprzedaży andynu wysoko rozwiniętym krajom, nie troszcząc się o możliwe konsekwencje.

– Na czym polega atrakcyjność andynu?

– Jest to metal do złudzenia przypominający złoto, co czyni go idealnym elementem sztucznej biżuterii. Jest także wykorzystywany w przemyśle menniczym. Na przykład to – Reuber rzucił na stół monetę – zawiera około procenta czystego andynu. To niewiele, ale...

– Panie profesorze – przerwał Reuberowi spiker – niestety, dostałem właśnie wiadomość, że kończy nam się czas antenowy. Dziękuję za rozmowę i życzę owocnej pracy na rodzimym gruncie...

Dalsze słowa zagłuszyła muzyka.

Nie miałem wątpliwości – myślało mi się jeszcze dość jasno, choć i w tę sferę pomału wdzierał się chaos – że prowadzący otrzymał polecenie przerwania programu. Musiało to mieć związek z wątpliwościami Reubera wobec wspomnianego metalu, a może... Tak, program przerwano, gdy kamera rozpoczęła najazd na rzuconą przez naukowca monetę. A to mogło oznaczać tylko jedno: była to moneta, którą na co dzień posługiwano się w naszym kraju.

* * *

Fritz Reuber miał trzy obywatelstwa, ale jego polszczyzna była bez zarzutu. Nienawidził nosić przy sobie gotówki i niemal za wszystko płacił kartą.

– Dwueurówka – powiedział, gdy do niego dotarłem. – Jej wewnętrzna strona składa się z dwóch warstw. Jedną stanowi mosiądz, drugą – stop zwany patagońskim złotem, otrzymywany z połączenia miedzi, glinu, cynku, cyny i andynu. Zawartość tego ostat-

niego w stopie wynosi trzy procent, co daje około procenta w skali całej monety. To niewiele, ale...

– Ale wystarczyło, by zdjąć pana z anteny?

– Zdziwiło mnie to – przyznał. – W Argentynie także nie wolno źle mówić o andynie, ale tam przyczyna jest oczywista. To biedny kraj, który właśnie dzięki eksportowi poszukiwanego metalu wydobył się z głębokiego kryzysu. Skoro jednak ta psychoza dotarła aż tutaj, może mieć głębsze podłoże.

– Od jak dawna jest pan z powrotem w kraju? – zapytałem.

– Trzy, cztery tygodnie.

– Nic pan nie zauważył?

Patrzył na mnie pytająco.

– Wie pan, że studiowałem polonistykę? – Mrugnął niepewnie. – Nie skończyłem. – Machnąłem ręką. – Stare dzieje. Ale umiałem się wysławiać. Nie byłem chaotycznym jąkałą, jak dziś. – Dostrzegłem w oczach Reubera błysk zrozumienia. – To się stało w ciągu ostatnich miesięcy. Słowa uciekają, tracą sens... Pana to nie dotknęło, choć przecież...

– Wiąże pan tę przypadłość z andynem?

– Nie wiem. – Wzruszyłem bezradnie ramionami. – Ale musi ją roznosić coś, z czym większość ludzi ma na co dzień kontakt. Tyle że pan...

– Peso nie zawiera andynu – przerwał mi. – Argentyńczyków nie stać na ten luksus. Wszystko idzie na eksport – do Stanów, Europy, Japonii. Nadal jednak nie rozumiem, w jaki sposób metal mógłby powodować takie szkody. Nawet jeśli nie zbadano wszystkich jego właściwości... z pewnością nie jest promieniotwórczy. Co innego mogłoby wywoływać uszkodzenie mózgu? Bo przecież to pan sugeruje, prawda?

Opowiedziałem mu wszystko.

– Chce mi pan powiedzieć, że przez andyn wycieka ze świata jakaś mistyczna substancja? – zapytał z powątpiewaniem, gdy skończyłem.

– Platon wierzył, że każda rzecz, każde zjawisko, ma swój niematerialny wzorzec. Coś w rodzaju formy, z której rodzą się konkretne egzemplarze. Na przykład każdy stół jest pochodną idealnego, wzorcowego stołu. Im bardziej oddala się od wzorca, tym jest mniej „stołowaty". Póki forma pozostaje nienaruszona, mamy punkt odniesienia, ale...

– Ale andyn psuje tę formę?

– Psuje, wypacza, dziurawi. Nie wiem. Coś z nią robi. Co pan wie o historii tego metalu?

Poprawił się w fotelu. To dobry znak, pomyślałem. Zaczyna traktować sprawę poważnie.

– Złoża odkryto kilkadziesiąt lat temu. Początkowo łudzono się, że to złoto, ale po zbadaniu próbek okazało się, że natrafiono na nieznany dotąd metal. Ze względu na barwę i wytrzymałość wkrótce zaczęto go stosować do wyrobu biżuterii. Rząd argentyński dostrzegł w eksploatacji andynu szansę na podniesienie PKB i zmniejszenie bezrobocia, ale na korzyści trzeba było poczekać parę lat, podczas gdy budowa, wyposażenie i utrzymanie kopalni sporo kosztowało. Rozpisano więc przetarg na zarządzanie inwestycją i ostatecznie gospodarzem terenu został argentyński przedsiębiorca Palo Negruda. Choć do konkursu stanęło wiele znanych koncernów, rząd w Buenos Aires postawił na rodzimy biznes i nie zawiódł się. Gospodarce Argentyny daleko wprawdzie jeszcze do ideału, w ciągu ostatnich kilkunastu lat zanotowano jednak znaczną poprawę. Andyn jest eksportowany głównie do bogatych krajów i stosowany w coraz to nowych gałęziach przemysłu.

– A ten biznesmen... jak mu było?

– Negruda.

– Właśnie. Co pan o nim wie?

Wzruszył ramionami.

– Niewiele. Kilka razy widziałem go w telewizji. Staroświecki typ przedsiębiorcy: nie udziela wywiadów, nie tłumaczy się ze swoich działań, po prostu robi swoje i zarabia krocie.

– Ludzie sukcesu zwykle wzbudzają zainteresowanie mediów.

– Media nie ośmielą się zrobić nic, co mogłoby rozgniewać Negrudę. To nie Europa. Za obrażenie dobroczyńcy narodu można tra-

fić za kratki – a zapewniam pana, że argentyńskim więzieniom daleko do standardów unijnych.

– Pomoże mi pan? – zapytałem.

– Jak?

– Trzeba się dowiedzieć jak najwięcej o tym... Negrudzie i o jego kopalniach. Spróbować dotrzeć do górników lub ich rodzin. Pan ma kontakty w Argentynie, zna pan hiszpański.

– Nie wiem, co pan się spodziewa znaleźć, ale spróbuję. I tak nie mam nic do roboty. Uczelnia obiecuje etat od października, a na razie... – Zawiesił głos.

Na odchodnym wręczyłem mu kilka arkuszy papieru.

– Co to jest? – zdziwił się.

– Samouczek języka migowego. Murzyn... moja przyjaciółka – wyjaśniłem jeszcze bardziej zaokrąglonym oczom – odkryła, że język głuchoniemych operuje raczej pojęciami niż konwencjonalnymi słowami. Jego znaki mają realny związek z tym, co opisują, więc trudniej jest zerwać nić wiążącą je z desygnatem. Może nam się przydać, gdy sytuacja się pogorszy.

Nasza rozmowa, rzecz jasna, nie przebiegała tak gładko, jak ją tu opisałem. Kształtowałem słowa olbrzymim wysiłkiem woli, chwytając sens spazmatycznie, jak tonący powietrze. Gdy opuściłem dom Reubera i szedłem pogrążoną w półmroku ulicą, zastanawiałem się, czy nie powinienem był pożegnać go bardziej wylewnie.

Zza rogu wyszedł nagle jakiś obwieś. Przestraszyłem się, ale to był tylko żebrak.

Dałem mu wszystkie swoje dwueurówki. Niech się chłop naje do syta i zapomni.

* * *

„Milczenie jest złotem" – napisał ktoś sprayem na ścianie mojego bloku. Było to ostatnie graffiti, jakie pojawiło się w mieście.

Nakłady gazet spadały na łeb, na szyję. Większość pism zresztą umarła śmiercią naturalną, bo nie było komu do nich pisać. Tylko „Klejdry z Fyrtla" nadal się jakoś trzymały. Czasem sięgałem po nie, żeby sprawdzić, czy jeszcze potrafię czytać. Podobnym ćwiczeniem były rzadkie listy elektroniczne od Reubera. Oto, czego się z nich dowiedziałem.

Wykorzystując znajomość hiszpańskiego i zagadnień związanych z andynem Reuber pokręcił się trochę po argentyńskich listach dyskusyjnych i uzyskał wysoce niepokojące informacje. Pisano, że ludzie, którzy udają się do kopalni andynu w poszukiwaniu pracy, muszą podpisać umowę co najmniej na rok. Przez ten czas nie wolno im opuszczać terenu kopalni, a telefoniczny lub listowny kontakt z bliskimi, choć dozwolony, przeważnie okazuje się niewykonalny – coś zniekształca głos w telefonie, maile są nieczytelne, a tradycyjne listy nie dochodzą. Po pewnym czasie górnicy w ogóle przestają dawać oznaki życia. Nawet ci, którzy się zarzekali, że idą do kopalni tylko na rok, nie wracają, a jeśli wracają, trudno z nimi nawiązać kontakt i na ogół szybko umierają. Osoby, które w ostatniej chwili zrezygnowały z podęcia pracy, giną w niewyjaśnionych okolicznościach. Wciąż jednak wielu jest takich, którzy, nie dając wiary pogłoskom bądź nie mając z czego utrzymać rodziny, decydują się wyruszyć na południe.

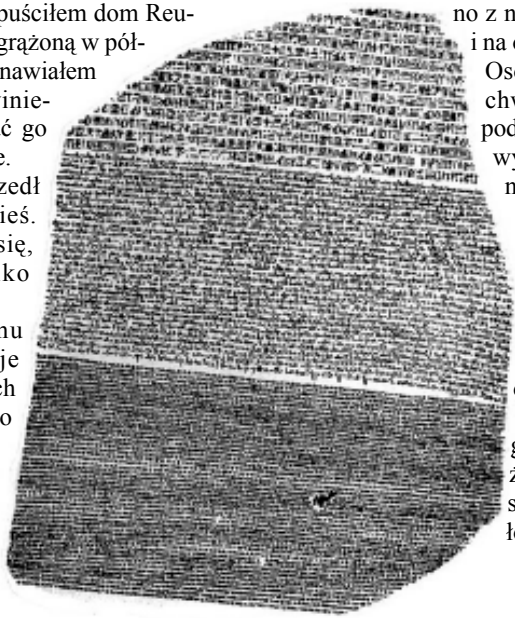

Co do samego Negrudy, wydawało się, że nigdy nie opuszcza swojej posiadłości, położonej na terenie kom-

pleksu kopalnianego. Cały jego obszar był otoczony drutem kolczastym i strzeżony tak pilnie, że do środka nie mogła się przedostać nawet mysz, nie mówiąc już o ekipie telewizyjnej. Wszystkie zdjęcia kopalni i samego Negrudy musiały być zatem kręcone przez kogoś z wewnątrz i przesyłane do stacji.

Pod koniec maja Fritz Reuber niespodziewanie pojawił się w moim domu.

– Jadę do Argentyny.

Dla mnie nawet jego podróż z Wrocławia do Poznania była aktem heroizmu. Większość naszych rodaków zdążyła się do tej pory cofnąć do poziomu neandertalczyka.

– Właśnie dlatego – rzekł, gdy podzieliłem się z nim tą refleksją. – Próbowałem pisać do gazet, alarmować środowisko. Wszystko na nic.

– Co chcesz zrobić?

– Uniwersytet Buenos Aires zaprosił mnie na kongres. Jeśli w ogóle wpuszczą mnie do kraju – rząd Menona nie przepada za mną – wyrwę się na południe i powęszę.

Podobnie jak Reuber, Murzyn i ja staraliśmy się unikać kontaktu z andynem, więc nasz stan był względnie stabilny, ale substancja wyciekająca z otaczającego świata robiła wszystko, by nas za sobą pociągnąć. Wiedziałem, że podróż Reubera może być ostatnią szansą dla całej naszej trójki.

– Uważaj na siebie, Fritz – powiedziałem i tym razem uścisnąłem go porządnie. Gdy słowa się rozpadały, fizyczny kontakt pomagał odnaleźć sens.

– Wy też – rzekł, podając rękę Murzynowi. – Odezwę się, kiedy będę mógł.

* * *

Odezwał się po kilku tygodniach, gdy przepływ czasu znaczyły już tylko kreski na ścianie. Podniosłem słuchawkę. Poznałem głos, ale nie pamiętałem imienia. Wymamrotałem coś do mikrofonu.

– To on? – zapytała gestem Murzyn.

Skinąłem głową. Przylgnęła do słuchawki, ale Fritz już się wyłączył.

Przyłożyła prawą rękę do serca, a potem uniosła palce w górę. Był to znak, który w języku migowym wyrażał nadzieję.

Mowa gestów jeszcze coś znaczyła, choć Bezimienny wdzierał się i w tę sferę. Coraz częściej czułem go też w swojej głowie. Próbowałem nie myśleć słowami, ale te kołatały mi się pod czaszką jak natrętne ptaki. Murzyn. Przytulić. Strach.

– Fritz – powiedziałem na głos.

Zmierzwiła mi włosy. Kiedyś nie pozwalaliśmy sobie na takie gesty. Teraz był to najpewniejszy środek komunikacji.

Dzwonił, żeby nas ostrzec, ale było za późno. Po jego wyjeździe nasz stan zaczął się gwałtownie pogarszać. Fritz już w Argentynie dowiedział się, że w Europie wprowadzono do obiegu monety jednoeurowe i dwudziestocentowe z dodatkiem andynu. To one nas załatwiły.

Reuber prosto z lotniska w Buenos Aires pojechał autobusem do patagońskiego Río Gallegos i zameldował się w hotelu, w którym nikt nie chce oglądać twojego paszportu, a duża ilość banknotów, najlepiej zielonych, stanowi najlepsze referencje. Fritz wolał miejscową walutę, ale na szczęście miał jej pod dostatkiem – na jakiś czas.

Wieczorem udał się do miejscowego baru.

– Pan to chyba nowy w tych stronach – zagadnął go barman, gdy był już po drugim drinku. Całe szczęście, pomyślał Reuber; po trzecim mógłbym nie zapamiętać tej rozmowy.

– Szukam pracy – powiedział. – Myślałem o kopalni.

– *Forastero?*

Machnął ręką.

– *Brasileño.* – Lepiej się nie zdradzać ze swoim pochodzeniem.

– Oni cały czas szukają ludzi – mruknął ponuro sąsiad Fritza, stary dziadek o pooranej zmarszczkami twarzy. – Nie jedź pan tam.

– Słyszałem, że to niebezpieczna praca – zaczął ostrożnie Fritz. – Ale muszę zarobić. Mam trójkę dzieci.

– Ja miałem piątkę, *coño*! – Dziadek walnął pięścią w stół – Teraz tylko dwie córki mi zostały. Chłopaki poszły i przepadły.

– Niech pan go nie słucha – włączył się barman. – Staremu się klepki pomieszały. Dwóch synów stracił na morzu, trzeci uciekł z domu i słuch po nim zaginął.

– Poszedł do kopalni – upierał się stary. – Z początku przysyłał dużo forsy.

– Pewnie opieka społeczna ci przysyłała, Sánchez. Twoja stara mówiła, że Nico uciekł do Buenos Aires, żeby studiować.

– Co ona tam wie! – rozeźlił się Sánchez. – Całymi dniami w kuchni siedzi albo w kościele. Co ta stara franca wie. Nic nie wie.

Po tych słowach zwalił się ze stołka i z hukiem wylądował na podłodze.

– Chleje na umór – powiedział barman do Fritza, gdy dwóch krzepkich młodzieńców próbowało postawić Sáncheza na nogi. – Co wieczór tu przesiaduje.

Tego wieczoru Reuber nie dowiedział się nic więcej, choć wypił jeszcze trzeciego. Może dlatego nie zadał sobie pytania, skąd Sánchez ma pieniądze, żeby codziennie się upijać.

Mimo to, gdy wracał do hotelu, trzymając się blisko ścian, otrzymał odpowiedź.

Jakiś człowiek znalazł go nieprzytomnego na ulicy i wezwał pogotowie. Tym razem Fritz musiał pokazać paszport. Podróżował z polskim, bo po hecy ze spektakularnym wyjazdem z kraju rząd argentyński odebrał mu obywatelstwo. Reuber nie miał wątpliwości, że następnego dnia całe Río Gallegos będzie wiedziało, iż skłamał, podając się za Brazylijczyka. Ale jakie to miało znaczenie? Złamany nos i poobijane ciało dość dobitnie wyrażały fakt, iż mieszkańcy Río nie życzą sobie jego obecności w tym miejscu niezależnie od koloru paszportu. „Spier... stąd, szpiegu!" – krzyczeli, gdy leżał już na chodniku, zwijając się z bólu, a oni nadal przekonywali go kopniakami.

Minęło parę dni, nim doszedł do siebie. Cud, że nie złamali mu żadnej kończyny ani nie uszkodzili narządów wewnętrznych. Pewnie wiedzieli, jak bić, żeby nie napytać sobie biedy.

Musiał stamtąd jak najszybciej wiać. Po tym, jak zniknął z lotniska i nie pojawił się na kongresie, szukała go już zapewne policja w całym kraju. Wymknął się ze szpitala nocą, nadal obolały i pokiereszowany, ale już na siłach, by ruszyć w dalszą drogę. W hotelu zapłacił podwójną stawkę za przedłużenie pobytu i wsiadł w autobus zmierzający do wioski położonej o kilka kilometrów od bram kopalni. Wiedział już, że musi być ostrożniejszy. Najlepiej o nic nie pytać, udawać przypadkowego turystę. Negruda musiał przekupywać okoliczną ludność, żeby dobrze o nim mówiła. Dzięki temu mieszkańcy Río Gallegos mogli żyć we względnym dostatku, nie posyłając dzieci do kopalni.

Wieś Andino liczyła około tysiąca mieszkańców, wśród nich wielu metysów. Reuber po drodze pozbył się walizki, zamieniając ją na plecak ze stelażem. Zakupił też namiot, śpiwór, solidne górskie buty i nieprzemakalną odzież. Musiał być wiarygodny. Poza tym już dawno nie miał prawdziwych wakacji, a zbliżająca się konfrontacja podsycała w nim chęć ucieczki, choćby tylko parodniowej. Nim dojechał na miejsce, miał głowę tak wypełnioną planami, że niemal zapomniał prawdziwego celu swego przyjazdu.

Biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich Fritz pisał swój dziennik, zadziwiająca jest liczba szczegółów i plastyczność opisu górskiej eskapady, przeplatanego wnikliwymi przemyśleniami na temat natury świata, życia i samego człowieka. Na tle andyjskich szczytów powstawał niezwykły traktat filo-

zoficzny – dziś moja najdroższa pamiątka po Fritzu, być może ważniejsza niż jego relacja z późniejszych wydarzeń.

Zakwaterował się w jednym z kilku skromnych pensjonatów we wsi, która była już tylko cieniem dawnego prężnego ośrodka turystyki górskiej. Mieszkańcy byli małomówni i to mu odpowiadało. Zostawił na miejscu część rzeczy, informując gospodarzy, że udaje się na kilka dni w góry. Wątpił zresztą, czy rozumieją, co do nich mówi. Bliskość andynu była w tym miejscu porażająca. To dlatego zaczął pisać. Początkowo posługiwał się niemieckim; później zaczął szyfrować wiadomości. Szyfrem tak prostym, że mógł oszukać jedynie Bezimiennego.

Nie wiedział, co zrobi po zejściu z gór. Nie miał pojęcia, jak powstrzymać wyciek substancji ze świata. Patrzył na surowe piękno gór i zastanawiał się, czy następnego dnia będzie jeszcze umiał je nazwać.

W końcu musiał wrócić. Zszedł do innej wioski, nieco większej niż Andino, odgrodzonej od kopalni wysoką ścianą gór. Zaszedłszy do miejscowego sklepu, dostrzegł na regale stołeczną gazetę ze zdjęciem uśmiechniętego Negrudy na pierwszej stronie. Kupił ją, choć kończyły mu się pieniądze. Wśród wyliczanki sukcesów Negruda Mining natknął się na wzmiankę o niedawnym wprowadzeniu do obiegu jednoeurówek i dwudziestocentówek z domieszką andynu.

Wtedy do mnie zadzwonił.

Łudził się, że to zakłócenia na linii, że Bezimienny wysysa jego słowa, ale tak naprawdę wiedział, że zostałem odmóżdżony. A skoro ja, to inni tym bardziej. Nie miał już dokąd wracać. Kończyły mu się pieniądze.

Mógł zrobić tylko jedno.

Ja sam niewiele pamiętam z miesięcy, które nastały potem. Jakieś strzępy, brud na klatce, siedzenie na trawie nad jeziorem, piasek na rękach, zapach chleba, ciało Murzyna. Kurczowo trzymałem się materii, bo tylko ona była realna, nawet jeśli nie potrafiło się określić jej przeznaczenia. Wszystko inne przeciekało przez palce. Czasem, w przebłyskach świadomości, wydobywaliśmy się na chwilę z tego bagna, raz ona, raz ja, rzadko oboje.

Pewnego ranka obudziłem się z myślą o Fritzu. Potem znów zasnąłem, ale on wracał, a razem z nim, w poszarpanych strzępach, wracała historia. Ale to Murzyn odezwała się pierwsza.

* * *

– Hej, Nando! Znowu jesteś w gazecie!

Fritz Reuber uniósł wzrok znad kawy i patrzył na stojących przy kontuarze mężczyzn. Jeden ze śmiechem wskazywał drugiemu stojak z gazetami.

– Już ze sto razy dawali to zdjęcie – mruknął drugi, ustawiony profilem do Fritza – a zapłacili tylko raz, do diabła.

– Aleś sobie chałupę wyremontował za te pieniądze – wtrącił trzeci mężczyzna.

Drugi obrócił się ku niemu, ukazując Fritzowi swoje oblicze w całej okazałości.

Był to Palo Negruda.

* * *

– Kojot – powiedziała Murzyn.
– Murzyn – szepnąłem.
– Fritz.
– Argentyna.
– Andyn.

Wszystko wracało. Patrzeliśmy na siebie jak ludzie budzący się ze śpiączki, jeszcze skołowani, z dziurami w pamięci, ale świadomi, żywi, zdolni do kojarzenia podstawowych faktów.

Musiało jednak upłynąć wiele tygodni, nim zdarzenia minionego czasu z powrotem nabrały kształtów. Nikt nigdy nie odda nam całej prawdy, ale wydarliśmy Bezimiennemu dość, by opowiedzieć tę historię.

Fritz wyszedł z baru za Negrudą. Trzymał się w pewnej odległości od niego, dbając jednak o to, by nie stracić go z oczu. Zastanawiał się, co jest grane. Przecież Negruda, według wszelkich dostępnych informacji, mieszkał w rezydencji położonej w kompleksie kopalnianym, strzeżonym tak, że nawet mysz nie mogła się prześliznąć bez odpowiednich papierów. Poza tym – dlaczego tamten facet zwracał się do niego per „Nando”?

Coś tu śmierdziało.

Chałupa, do której wszedł Negruda, może i była wyremontowana, nadal jednak prezentowała się nad wyraz skromnie. Fritz odczekał chwilę, po czym ostrożnie podszedł do bramy, by zerknąć na tabliczkę z nazwiskiem. „Fernando Montero, Julia Savanetti" – przeczytał.

Fernando Montero. Nando.

W salonie paliło się światło, żaluzje nie były spuszczone. Reuber przyglądał się, jak rodzina Montero – przeciętna argentyńska rodzina – zasiada do obiadu.

Wszystko układało się w całość, choć nie była to całość, która podobałaby się Fritzowi. Chyba już wiedział, dlaczego Palo Negruda tak rzadko pokazuje się w telewizji.

Pojechał autobusem do Andino, a stamtąd ruszył pieszo w kierunku kopalni. Zatrzymał go patrol ochroniarzy.

– Tam nie wolno.

– *Busco empleo* – powiedział człowiek z plecakiem.

Zażądali dokumentów.

– Obywatel Europy? – Ochroniarz spoglądał na niego podejrzliwie. – Szuka pracy, tu?

Fritz wiedział, że drugiej szansy nie będzie. Musiał postawić wszystko na jedną kartę.

– To fałszywe papiery – powiedział, wbijając wzrok w ziemię. – Jestem Rosjaninem.

– Nazwisko?

– Paweł Rublow. – Niech będzie. Rubel kontra złoto Patagonii. – Pablo – dodał tonem wyjaśnienia.

– Nie podołasz. Cherlaków nie przyjmujemy.

– Umiem gotować – rzekł Fritz. – Na pewno potrzebujecie ludzi do kuchni.

Nigdy się nie dowiedział, dlaczego w końcu podwieźli go pod bramę, skąd pod eskortą zabrano go do biura rekrutacji, przetrząsając uprzednio plecak i zabierając wszystkie pieniądze i dokumenty. Pewnie spodobało im się, że przyjechał do nich z tak daleka.

* * *

Życie wracało do normy powoli, jakby świat budził się z głębokiego snu. Musiały minąć lata, nim osiągnęliśmy stan sprzed katastrofy, ale już miesiąc po tym, jak Murzyn przypomniała sobie moją ksywkę, zaczęto zadawać pierwsze pytania.

Wyglądało na to, że politycy od dawna wiedzieli o wywoływanych przez andyn anomaliach. Bagatelizowali te doniesienia, ale na wszelki wypadek woleli unikać kontaktu z podejrzanym metalem. Nie zrobili natomiast nic, żeby ochronić przed nim społeczeństwo. Dopiero kiedy wszystko zaczęło się sypać, poszli po rozum do głowy. A może po prostu dowiedzieli się o tragedii w kopalni i postanowili ubić interes na rosnących gwałtownie cenach andynu. Dość, że stopniowo zaczęto wycofywać z obiegu zawierające go monety i zastępować je nowymi, z tradycyjnego złota nordyckiego. Okazało się, że pokradzione przez Bezimiennego słowa powoli wracają na swoje miejsca. Nikt, rzecz jasna, nie wspominał o żadnym Bezimiennym, a zapaść duchową zachodniego świata przypisano alergii na andyn. Może zresztą była to prawda. Jak zwał, tak zwał. Kiedy jednak w internecie opublikowano sensacyjny pamiętnik, który, choć napisany dziecinnie prostym szyfrem, cudem przetrwał na wyjałowionym z wszelkich znaczeń terenie kopalni, a po kilku dniach wydrukowały go wszystkie gazety, zaczęła wychodzić na wierzch cała skomplikowana historia. Kiedy Fritz zorientował się, że Palo Negruda nie istnieje, wiedział, że musi rozwalić kopalnię od środka. Nie miał żadnego pomysłu, po prostu zdał się na żywioł. Dopiero w kuchni zaczął

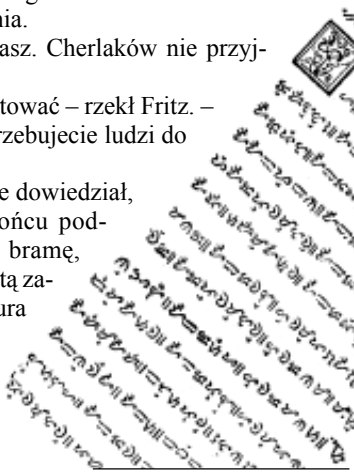

kombinować. Zaprzyjaźnił się z jednym z górników, prawdziwym Rosjaninem. Wszyscy, którzy pracowali na dole, nosili specjalne kombinezony i hełmy, dzięki którym unikali bezpośredniego kontaktu z metalem. Tamten Rosjanin, Sasza, przemycał dla Fritza bryłki andynu.

– Po co ci one, Pawka? – pytał. – I tak ich stąd nie wyniesiesz. Stąd nie ma wyjścia. Kto raz wdepnął, zostaje na zawsze.

– Zostaw to mnie, Saszka – mówił Fritz. – Powiedz, wierzysz w życie po śmierci?

Sasza wzruszał ramionami.

– Śmierć? A cóż to takiego? Za każdym razem, gdy zza drutów przychodzi ktoś nowy, dziwię się, że tam na zewnątrz jest jeszcze jakiś świat.

Fritz kruszył przyniesione przez Saszę bryłki i dyskretnie dosypywał do górniczych posiłków.

„Staram się podjadać w kuchni, a w stołówce unikać jedzenia – pisał w swoim zeszycie – ale męczy mnie już ta ostrożność. Po tym, co zobaczyłem, trudno jest wierzyć, że pozostało jeszcze coś z dawnego świata. Sasza ma rację: tam już nic nie ma. Ale tu mogę jeszcze walczyć. To moja prywatna wojna. Rozwalę Bezimiennego, uwolnię skradzioną substancję. Nawet jeśli zostanie po nas tylko jałowa ziemia, będę umierał z nadzieją, że kiedyś ponownie narodzi się tu życie".

Wkrótce potem z kopalni przestały przychodzić transporty. Dział handlowy początkowo próbował się tłumaczyć, obiecywać; potem i on zamilkł. Sprawa była delikatna i rząd argentyński długo starał się ją utrzymać w tajemnicy, mamiąc importerów coraz bardziej niewiarygodnymi opowieściami i wysyłając do Patagonii coraz to nowe oddziały wojska. W końcu imperium Negrudy zostało wzięte szturmem. Żołnierze wchodzili w głąb terenu, nie napotykając oporu – jedynie setki leżących bez życia ciał i drugie tyle snujących się bez pamięci pustych skorup ludzkich. Tylko nieliczni zachowali szczątki świadomości i mruczeli pod nosem jakieś bezładne słowa.

Kopalnię zasypano – jej teren do dziś jest traktowany jako obszar klęski – a wokół zasieków z drutu kolczastego rozstawiono straże. Wcześniej jednak, podczas porządkowania ogniska zarazy, natrafiono na pisany cyrylicą dziennik. Ministerstwo obrony przekazało go do rozszyfrowania naukowcom z Uniwersytetu Buenos Aires. Nikt nie wie, w jaki sposób tajny dokument przeniknął do internetu, a stamtąd do prasy.

Dziennik właściwie nie był zaszyfrowany, a fakt, iż jego treść upubliczniono dopiero wiele miesięcy po katastrofie, należy przypisać działaniom argentyńskiego rządu, który za wszelką cenę starał się ukryć przed światem swoją wstydliwą tajemnicę. Ktoś jednak w końcu zdecydował się przerwać milczenie.

Fritz przez cały czas pisał po niemiecku. Podczas zmagań z Bezimiennym z górach postanowił jedynie zastosować dziecinną sztuczkę: zastąpił alfabet łaciński cyrylicą. To wystarczyło, by oszukać zabójcę form.

* * *

– Oto cała historia, dziadku. Fritz nie ujawnił w dzienniku swojego prawdziwego nazwiska. Nie zdradził też niczego, co mogłoby go wiązać ze mną, Murzynem lub kolegami z Uniwersytetu Buenos Aires. Oni jednak z pewnością domyślili się, czyje to dzieło, i postanowili opublikować dziennik, oddając w ten sposób hołd przyjacielowi.

– Niesamowita opowieść – stwierdził stary stróż i uśmiechnął się nostalgicznie. – Tylko żebym jej nie zapomniał... Wszystko ostatnio zapominam, starość nie radość, *señor*. A na tym pustkowiu człowiek nawet nie ma do kogo gęby otworzyć.

– Niech się pan nie martwi, dziadku. – Poklepałem go po ramieniu. – Spiszę to wszystko i przyślę panu pocztą.

– Oby nie było za późno – mruknął do siebie dziadek, gdy odchodziłem w kierunku zaparkowanego za bramą samochodu.

Andyn z przetopionych monet wciąż krąży po świecie. Robią z niego biżuterię i sztuczne zęby.

Poznań, styczeń/luty 2005

Czas to popiół

Jacek Sobota

Czas musi płynąć, by coś się działo, ale zarazem to „dzianie się" oznacza śmierć, kres, rozpad, w ostatecznym rozrachunku. Ten mechanizm paradoksalny tkwi jak ćwiek w naturze rzeczy; działa praktycznie wszędzie. Szekspir porównywał (w „Hamlecie"?) miłość do płonącej świecy – już u zarania wiadomo, że się wypali; zalążek klęski jest u apogeum chwały. Słyszymy świetną opowieść, chcielibyśmy, by orator snuł ją jak najdłużej, ale wiemy, że każde chłonięte przez nas słowo wiedzie ku jej śmierci. Słuchając, zabijamy ją. A przecież nie możemy nie słuchać. Może dlatego potrafiłem kiedyś, dziecięciem jeszcze będąc, czytać niektóre książki po kilkanaście razy (teraz już nawet raz to za dużo – nie wiem, czy wina to moja, czy książek, a raczej ich autorów, co na bakier są z talentem) – za każdym razem wskrzeszałem bowiem opowieść. Lecz było to, rzecz jasna, złudzenie – ona była już dla mnie bezpowrotnie martwa. Dlatego jest coś straszliwego i zarazem wspaniałego w czytaniu – to akt współuczestnictwa w kreacji; ale także zbrodnia. Powieść, opowiadanie, wiersz są wielokrotnymi ofiarami czytelniczych mordów, właściwie czystek literackich. Chyba z tego właśnie powodu od jakiegoś czasu niczego już mi się czytać nie chce. Jak czytam, to swoje kawałki i to w celach praktycznych, mnemotechnicznych – wiem bowiem, że zabijam w ten sposób cząstkę siebie, samobójstwo (szczególnie literackie) jest jednak mniejszą winą niże krzywdzenie innych (lepiej być krzywdzonym niż krzywdzić, jak rzekł Platon). Zresztą napisana proza jest popiołem dla autora – znał jej treść, formę dawno temu; narodziła się w chwili poczęcia.

W owych (rzekomych) pacyfizmach czytelniczych, które przejawiają się nieczytaniem, czyli bezaktywnością, nie ma oczywiście niczego szczególnie szlachetnego. Gdyby mi się pod oko nawinął drugi Dostojewski, natychmiast dokonałbym wiwisekcji; natomiast mordowanie autorów mniejszego formatu nie przynosi nawet owej namiastki sadystycznej. Wręcz przeciwnie, taki mord mógłby mnie zabić rykoszetem; morderczość miernej prozy (mam doświadczenie recenzenckie) bywa znaczna. Wolałbym uniknąć posądzeń o kombatanctwo czytelnicze, ale muszę to napisać: było na mnie wiele zamachów – przeżyłem. Zatem nie czytając, stajemy się niechcący symbiontami – oszczędzamy nijaką prozę i sami żyjemy. Choć z drugiej strony jestem czytelnikiem-szczęściarzem, ponieważ właściwie nie mam pamięci. Nie jestem w stanie zachować we łbie niczego. Zatem u mnie wskrzeszenie jednak zachodzić – wewnętrznie – może. Mogę zapomnieć o świetnościach frazy; i czytać ją, czytać, czytać. Rozpadliny bezpamięci są też znakomitym miejscem dla nicości pisarskich. Tam ich miejsce, chciałoby się rzec.

Trzeba tu wspomnieć o listach które są dla mnie fenomenem niezupełnie zrozumiałym. Kiedy byłem mały, uznawałem za coś cudownego, iż można wrzucić do czerwonej skrzynki kopertę, a ta w tajemny sposób zjawia się w innej części kraju, mało tego, w ściśle określonym miejscu. To było strasznie tajemnicze – jakieś determinizmy, jakieś podskórne mechanizmy rzeczywistości za tym się kryły. Teraz, rzecz jasna, instytucja Poczty Polskiej nie budzi już we mnie rozrzewnień, demitologizacja, by nie rzec demaskacja zaszły już za daleko. Teraz wiem, że za determinizmami kryło się kilku leniwych poczciwców; element stochastyczności dostarczeń przesyłek też wyszedł na jaw. Alienację i bezduszność poczty rozpozna-

je się natomiast podczas pertraktacji o zagubione listy – wtedy mamy poczucie obcowania z instytucją w Kafkowskim rozumieniu – znów niepojęty mechanizm. Dotyczy to jednak większości, jeśli nie wszystkich urzędów w naszym kraju (jeno nie widać tych legionów Franzów, którzy by to opisywali w arcydziełach; opresja jest bowiem solą literatury, im gorzej się wiedzie twórcy, nękanemu przez satrapę, żonę lub urząd podatkowy, tym większa szansa na coś ciekawego w jego wykonaniu. Większość polskich autorów SF to ludzie szczęśliwi i spełnieni, niestety, z tego też powodu – dla ich dobra – życzę im wszystkiego najgorszego).

Wracając do listów – dla mnie są one jakby zamrożonym czasem; stanem świadomości w metafizycznej pigule. Słać list, to jak słać Voyagera w kosmos. W listach jest coś ze światła gwiazd. Jak się patrzy na blask ciał niebieskich, ma się świadomość obcowania z wiecznością niemal – oto sygnał słany przez eony; patrzymy w otchłanną przeszłość. Kiedy zdajemy sobie z tego sprawę, dreszcz człeka przechodzi; dreszcz własnej nicości. Tak oto w świadomości tkwi moc nasza i całkowita bezsiła, jak w metaforze Pascala – iżeśmy jako myśląca trzcina – wielkość nasza tkwi w świadomości własnej nikłości. Nie inaczej z epistołami – małość w nich i wielkość zarazem. Jakaż przewaga jest w listach nad mailami czy sms-ami, z ich konieczną lakonicznością, skrótowością i... teraźniejszością – one są jak rozmowa tu i teraz toczona (po Syzyfowemu toczona – górzystość, jałowość komunikacyjna). List natomiast jest dostojny – w nim stoi czas, on jest jak wykopalisko archeologiczne; a jest to archeologia pamięci.

Bowiem – trzeba to powiedzieć – w informacji nie sama informacja jest najważniejsza, ale takoż jej forma, oprawa. Nowe technologie, jakże potrzebne (kolporterom pornografii na przykład), odzierają przekaz z formy, nadają mu nimb ubóstwa i nagości. Informowanie dla samego informowania? Wszak i literaturę można interpretować w kategoriach teorii informacji. Tam się o

czymś jednak czytelnika informuje. Wrażenia estetyczne też są rodzajem informacji; tyle, że subtelność aparatury odbiorczej bardzo jest tu podniesiona. Informacja natomiast funkcjonalna ociera się o banał, niestety.

Może zresztą czasu nie ma wcale; dzierżyć w dłoni wszak się go nie da, przecieka. Zegary nie tyle go kiełznają, co mierzyć próbują (mierzenie czasu – to jak branie miary na garnitur od niewidzialnego człeka). Może jest kolisty raczej, a nie linearny – po osiągnięciu ekstremum, zacznie biec w drugą stronę – wszyscy zmartwychwstaną i nastąpi szczęśliwy regres – od truposza do niemowlęctwa. I ból narodzin, straszliwszy może nawet od śmierci.

Św. Augustyn pisał, że czas w gruncie rzeczy jest złudzeniem naszych niedoskonałych (bo niecnemu cielsku towarzyszących) zmysłów. Bóg egzystować ma natomiast w tzw. „wiecznej teraźniejszości" – stąd Jego wiedza totalna. Kant mówił, że czas i przestrzeń

to jakby konieczne formy naszej zmysłowości – realnie ich nie ma; funkcjonują w nas – ze względów czysto praktycznych (bez kategorii czasu i przestrzeni nie jesteśmy w stanie żyć; wszystko musimy rozmieścić, „poukładać" czaso-przestrzennie). Skoro zatem czasu nie ma, to czym ja się, u diabła, przejmuję? Łysość, otyłość, oddech krótki – tego nie ma. Fenomenem jest, złudzeniem umysłu.

Może zresztą nie należy lekkomyślnie pozbywać się kategorii przemijania. Czy bez czasu, w owej „wiecznej teraźniejszości" możliwa byłaby sztuka? Wszak sztuka próbuje – jest to jedna z istotniejszych jej funkcji – czas mrozić, zatrzymać naturalny bieg rzeczy. Opisać ulotność, zmieścić nieuchwytne piękno w ramach sztywnych. Są to próby beznadziejne, lecz i piękne w swej daremności. Wreszcie wspomnienia, jakaś próba idealizacji czasu, uświęcenia go, by w chwilach różnych przywoływać przebrzmiałe obrazy. Znów paradoks słodkiej gorzkości – świadomość niedostępności Heraklitańskiej rzeki, która to wiedza zarazem uwzniośla tajemniczo chwile piękne. Piękne są właśnie dlatego, że niepowtarzalne. Gdybyśmy hurtowo mogli uczestniczyć w pierwszej lekturze „Ubika", gdyby się przy tym wszelkie doznania empatyczno-sensoryczne nieustannie ponawiały – rzecz cała sensu by nie miała. Musielibyśmy zaraz wprowadzić procedurę czyszczenia umysłu – by nie zbanalizować doznań. W takim razie po co w ogóle operację przeprowadzać?

Jest jeszcze jeden paradoks z czasem związany – dzieci i rodzice. Radość ze wzrostu dziecięcego, z jego rozwoju, ze stawania się KIMŚ. A zarazem żywy obraz własnego przemijania – w tym punkcie czas jest jednak uchwytny, mam wrażenie. Dziecko jako obraz Doriana Greya. Hm.

Fantaści zużyli dużo papieru, a także czasu swego i czytelników, by – nieudolnie – zmagać się z fenomenem czasu. Na opisy tego co marne ja papieru nie zmarnotrawię. Czasu też szkoda.

Poeticon

Encyklika oblężonego (oda)

Cyprian Kamil Norwid

> Kędy droga do Rzymu ? — Jam odparł: nie ma ta drogi — tu pustynia. — A oni odrzekli: „Prowadź nas zatem". — A kiedym się wahał, znów się odezwali cichym i tęsknym głosem: „Myśmy ostatki szlachty polskiej — Anioł pokazał się nam, anioł niepodobny tym, których oglądały ojce nasze; bo miał skrzydła bez blasku i welon żałoby na czole, lecz wiemy, że on z nieba zesłan — a on nas tu posłał..."
> Z. Krasiński: *Wigilia Bożego Narodzenia*

Któż jest ten Polak, kto?... co -- zrodzony na obcej ziemi
I z obcą w żyłach krwią -- dłońmi ku niebu drżącemi
Za Polską modły śle... i imię jej wymawia?...
- Kto? ten monarcha, kto?... co w oblężonej stolicy,
Gdy mury miasta drżą... sam i pogodno-licy,
Na polską pomni krew i o nią jeszcze się zastawia?
- To Ty, o! starcze, Ty, jeden bez win i trwóg,
To Ty, na globie Sam, jak w niebiesiech Bóg,
To Ty — trzech koron Pan... któremu krew i wiek,
I szturm... i bunt... i grot, jakkolwiek piersi ucela,
Nie znaczą nic -- -- są -- jako tępy ćwiek
W dłoni Zmartwychwstałego Zbawiciela.

*

Patrzcież nareszcie już, o! patrioci z krwi:
Ile?... szeroką jest ta -- Rzeczpospolita tam --
I gdzie? heroizm... gdzie?... ów całopalny, lwi,
Piekielnych nieulękniony bram!

*

Och! Europo!... każ, niech wraz zamilknie Potwarca,
Bo bezinteresowność przerosła Ciebie;
Słowa oblężonego starca
Palą się w niebie!

Wojciech Szyda

Czas w religii religia w czasie

Na początku przyznam się do pewnego spostrzeżenia: fantastyka religijna wydaje mi się najdziwniejszą konstrukcją literacko-ideową, jaką można sobie wyobrazić. Jest to konstrukcja pełna wewnętrznych sprzeczności, całkowicie heterogeniczna, która – zdawać by się mogło – nie ma prawa zaistnieć i funkcjonować. Jeżeli kogoś dziwią powyższe zdania płynące spod pióra autora tekstów należących do tej konwencji – jest to zdziwienie w pełni uzasadnione. W tym felietonie zwierzę się czytelnikom z wewnętrznych dylematów nurtujących kogoś, kto siedzi w fantastyce religijnej od środka. Kogoś, kto stara się poważnie traktować i literaturę, i swoją wiarę. Nie zawsze jest to bowiem łatwe, a pewne sprawy są – zarówno na poziomie teoretycznym, jak i w sferze *praxis* – cholernie trudne do pogodzenia. Czasami lepiej się nad tym nie zastanawiać, bo można dojść do klasycznego konfliktu świadomości i woli (*a la* Hamlet), który prowadzi do podwójnej blokady: pisarskiej i duchowej (oczywiście trochę ściemniam, jakby ktoś miał wątpliwości). A jednak nie ma rejterować przed dylematami, które są nazbyt jaskrawe i prędzej czy później wypłyną ławicą na powierzchnię naszego sceptycyzmu. Stąd między innymi wzięła się potrzeba napisania niniejszego felietonu. Ponieważ tematem przewodnim obecnego numeru IP jest czas (Planeta Czasu – czymkolwiek on jest), postaram się naświetlić ów dylemat między innymi na tym właśnie przykładzie. Podejście do zjawiska czasu w istotny sposób różni religię i fantastykę. Dla kogoś, kto ma głowę zanurzoną i w jednym, i w drugim – jest to twardy orzech do zgryzienia. O czym przekonacie się pod koniec tego felietonu. Wcześniej jednak kilka spostrzeżeń natury ogólnej.

Za sprzecznym charakterem fantastyki i religii przemawiają następujące argumenty:

1. Fantastyka to kreowanie światów o niezerowym prawdopodobieństwie (Janusz Zajdel), religia natomiast (w ścisłym znaczeniu pisząc „religia" mam na myśli chrześcijaństwo) to uznanie, że istnieje jeden całkowicie pewny i niepodważalny, ostatecznie wykreowany świat.

2. Fantastyka stanowi dziedzinę swoistej konkurencji wobec Pana Boga w zakresie kreowania światów – wymyślenie i opisania świata o odmiennych założeniach ontologicznych jest swego rodzaju „czynem nieuczciwej konkurencji" wobec Pana Boga, w którego świecie autor żyje sobie i pisze (prawa autorskie do naszego świata należą – zgodnie z religią – do Stwórcy).

3. Pisarz fantasta jest demiurgiem kradnącym Bogu monopol na tworzenie światów – inaczej niż pisarz realistyczny, gdyż przy pisaniu fantastyki obowiązuje „zasada

podwójnej demiurgizacji" (all rights reserved): pisarz fantasta tworzy podwójną fikcję, wymyśla bowiem nie tylko fikcyjne postacie, miejsca, wątki i motywy, lecz coś więcej: zupełnie inny świat, odmienne realia niż te, które autor realistyczny zapożycza z rzeczywistości.

4. Fantastyka jest ufundowana na spekulacji, na analitycznej nieufności, na negowaniu kanonicznych prawd, podkopywaniu fundamentów rzeczywistości, podczas gdy religia raczej te podstawy umacnia, petryfikuje, a przynajmniej sakralizuje i usiłuje wynieść na wyższe piętro w drabinie bytów.

5. Fantastyka postrzega zazwyczaj człowieka jako istotę marginalną, z punktu widzenia nauk ścisłych (potęga nauki oraz znikomość człowieka), podczas gdy religia to spojrzenie na człowieka *sub specie aeternitatis* (z punktu widzenia wieczności) i próba wywyższenia osoby ludzkiej.

6. Science fiction wyrosła z tradycji oświeceniowej (racjonalizm) i pozytywistycznej (scjentyzm) – opiera się zatem na światopoglądzie, który neguje religię i wiąże się z zupełnie innym spojrzeniem na rzeczywistość (*vide* racjonalista Lem czy Asimov), zakłada też zupełnie inne priorytety (poważni naukowcy nie zawracają sobie głowy Panem Bogiem etc.).

7. Fantasy z kolei ma wiele wspólnego z neopogaństwem i New Age (choć jak wiadomo Tolkien był tradycjonalistycznym katolikiem) – jest to zanegowanie religii z pozycji magiczno-okultystycznych (wielu autorów i czytelników fantasy to swego rodzaju wtórni poganie, przynajmniej mentalnie – sami się zresztą do tego przyznają, a obcowanie z literaturą fantasy to dla wielu z nich namiastka pogańskiej duchowości lub też wstęp do niej).

8. Horror to bardzo często negowanie chrześcijańskiej eschatologii, podważanie nauki Kościoła o życiu wiecznym. Dante pisząc „Komedię" (nazwaną z czasem „boską") tworzył literacki portret chrześcijańskich zaświatów, a więc swoje fikcyjne wyobrażenia umieszczał w ramach nauki Kościoła – była to próba wizualizacji świata pozagrobowego zgodna z ówczesną dogmatyką. Tymczasem współczesny horror (choć czasem nawiązuje do chrześcijańskich koncepcji zła, grzechu i winy) z reguły lekceważy metafizyczny porządek głoszony przez Kościół.

9. A w ogóle to pewien tęgi umysł i doktor Kościoła, niejaki Tertulian (autor mądrej zasady *credo cuia absurdum* – w wolnym tłumaczeniu: „wierzę, bo to nie do wiary") zwał ponoć literaturę „narzędziem Szatana" i „małpowaniem prawdy" (wiadomo, kto jest małpą Pana Boga) – więc cóż powiedziałby ów czcigodny autorytet o współczesnej fantastyce? Aż strach pomyśleć...

Na tle powyższych argumentów jasnym wydaje się więc, że fantastyka religijna to jakiś synkretyczny twór, usiłowanie żenienia ognia z wodą – istna chimera ideowa. Coś takiego nie ma prawa działać – zdawałoby się – a tym bardziej zaowocować przekonywającymi dokonaniami literackimi. *„It can't be!", „To se ne da!", „Das ist unmöglich!"* – powinni zakrzyknąć literaturoznawcy jak świat długi i szeroki. Czysto teoretycznoliteracka (aprioryczna) refleksja nad fantastyką religijną musiałaby doprowadzić do wykluczenia możliwości narodzenia się takiej konwencji. Żaden manifest literacki by się tu raczej nie sprawdził... Przy czym przez fantastykę religijną nie należy rozumieć sfery cudów, objawień, iluminacji i mistycznych przeżyć – gdyż jest to sfera niezwykłości w naturalny (czy raczej: nadnaturalny) sposób przynależna życiu religijnemu.

Tak więc od strony teoretycznej fantastyka religijna jest konwencją paradoksalną. Spójne teksty powstałe w jej ramach wydają się niemożliwe. Tak zdawać by się mogło, a jednak jest inaczej. W praktyce to działa, co jest dla mnie przykładem jakiegoś heterogenicznego cudu (połączeniem tego, co w teorii pozornie nie do po-

łączenia). Fantastyka daje się wiązać z religią, i to na różnych jej poziomach (płytszych i głębszych) oraz w różnych jej aspektach (moralnym, dogmatycznym, historycznym, źródłowym etc.). Istnieje wiele udanych przykładów fantastyki religijnej – i jest to wystarczający argument osłabiający prawdziwość teorii o sprzecznym charakterze fantastyki i religii. Nie mamy jednak do czynienia ze stanem, że coś sprawdza się w praktyce, choć nie sprawdza się w teorii (uważajcie na ten często spotykany „argument": to totalna bzdura – jeżeli coś nie gra w praktyce, to musi istnieć błąd w teorii; pisze o tym np. Schopenhauer w „Erystyce"). Proszę zwrócić uwagę, że cały wcześniejszy wywód sformułowałem w trybie warunkowym – gdyż z pewnego punktu widzenia faktycznie wydawać się może, że fantastyka i religia to koncepcje nie do pogodzenia. A jednak ich melanż jest ponad wszelką wątpliwość możliwy – i daje się teoretycznie uzasadnić, mimo wstępnych wątpliwości, o czym niżej.

Concordia discors. Coincidentia oppositorum. To dwa łacińskie określenia tego samego: w przekładzie na polski znaczą mniej więcej tyle, co: „jedność przeciwieństw". I właśnie tą jednością przeciwieństw tłumaczę sobie (a teraz i czytelnikom) przełamanie teoretycznej nieprzystawalności religii i fantastyki. Koncepcję tę należy przypisać filozofowi i teologowi okresu późnego Średniowiecza, Mikołajowi z Kuzy *. Pewne koncepcje owego teologa wyjątkowo pasują mi do pojmowania (usprawiedliwiania?) fantastyki religijnej. Przede wszystkim: Kuzańczyk odrzucał racjonalne argumenty na rzecz istnienia Boga oraz rozum jako narzędzie poszukiwania Absolutu. Jedynie intuicja miała być sposobem komunikowania się z Bogiem. Wiedzę ludzką nasz Mikołaj określał za pomocą następujących trzech cech: względna, skomplikowana i przybliżona. Prawdę natomiast, tożsamą z poznaniem Boga, jako: prostą, absolutną i jedyną. Tylko w Bogu zawierać się miała owa wspomniana na początku „jedność przeciwieństw", niedostępna dla rozumu i empirii, a pojmowalna intuicją. Kuzańczyk domagał się nawet odrzucenia arystotelesowskiej zasady sprzeczności, gdyż klasyczna logika nie bardzo odpowiadała sposobowi jego widzenia świata (przestawała się sprawdzać w odniesieniu do porządku wyższego – metafizycznego; co z kolei przywodzi na myśl zdanie Pascala: „Ostatni wysiłek rozumu to uznanie, że istnieje wielka mnogość rzeczy, które go przerastają").

Właśnie ten sposób myślenia wydaje mi się najbardziej zbliżony do fantastyki religijnej – sposobu postrzegania świata przez jej autorów (piszę to przynajmniej we własnym imieniu). Z jednej strony uznanie dla rozumu, ukazywanie logiczności i racjonalności w działaniach bohaterów (w ich doczesnym życiu) – a z drugiej strony metafizyczna intuicja, otwarcie na Absolut z pominięciem czynnika *ratio*. Przeczucie jakiegoś wyższego porządku, inne niż li tylko socjobiologiczne i ekonomiczne motywacje w postępowaniu postaci, konfrontowanie ich z sytuacjami wykraczającymi poza materializm i prymitywny łańcuch przyczyn i

---

* Mikołaj z Kuzy pojawia się sporadycznie u autorów fantastyki – np. w pewnym swoim tekście J.L. Borges przytacza jego definicję Boga-wszechświata jako nieskończonej kuli, której środek jest wszędzie a obwód nigdzie. Postać teologa przewija się też incydentalnie na kartach „Narrenturm" Andrzeja Sapkowskiego. Sam z kolei nawiązuję do niego w „Stroicielu ciszy".

skutków. Wkraczanie wraz z czytelnikiem w sferę, w której racjonalne narzędzia zawodzą – gdyż nie przystają do złożoności spraw boskich. W ten mniej więcej sposób postrzegam świat, jako człowiek i jako pisarz; taka właśnie percepcja przesądza o kształcie fantastyki, którą uprawiam (z lepszym lub gorszym skutkiem). Oto moje credo i – mam nadzieję – metoda przezwyciężenia pozornego dylematu, który nie daje mi czasem spokoju (*vide:* wstęp).

A jednak jest pewna dziedzina, w której owa jedność przeciwieństw zawodzi. Natrafiamy tam bowiem nie na przeciwieństwa, lecz na sprzeczności zupełne. Mam na myśli motyw światów (rzeczywistości) równoległych. Wykażę to w prosty sposób: czy możliwa jest do obrony (z punktu widzenia religii) sytuacja bohatera, który w jednym świecie żyje w sposób zapewniający mu zbawienie, a w drugim (równoległym) świecie w sposób narażający go na potępienie? Tak, to jeszcze jest możliwe. Wobec tego drugie pytanie: czy do przyjęcia jest sytuacja, że w jednej rzeczywistości bohater trafia do Nieba, a drugiej (równoległej) trafia do Piekła? Czy ostateczne przeznaczenie człowieka może być aż tak względne? Nie – nie może być, bo zaświaty są czymś stałym i ostatecznym. Łatwo tu dojść do absurdu – skoro możliwe są światy równoległe, to wprowadźmy jeszcze zaświaty równoległe: ta sama dusza byłaby równolegle zbawiona i potępiona (sic!). Stoi to w zupełnej sprzeczności z nauką religii o przeznaczeniu człowieka po śmierci – koncepcja światów równoległych burzy całą chrześcijańską eschatologię! Czas ziemski, wyznaczający nasz byt doczesny, daje się rozgałęziać, bo można to jeszcze – przy pewnej dozie dobrej woli – pogodzić z zasadami ziemskiego życia. Czas wieczny, wyznaczający nasz byt pośmiertny – nie podlega już żadnym rozgałęzieniom i odkształceniom. Jeżeli uznamy koncepcję światów równoległych (bez względu na to, jak fizycznie ją uzasadnimy – przykładem może być „Ziemia Chrystusa" Dukaja), w której możliwe są różnorodne (nieskończone liczbowo) wersje rzeczywistości, bo „punktem rozszczepienia" może być byle drobiazg (jakaś nieistotna różnica), wówczas dochodzimy do zaskakującego wniosku: życie wieczne i tak wszystko wyrówna, nastąpi wyprostowanie ścieżek i przezwyciężenie rozgałęzień – bowiem nie jest możliwa sytaucja, że ta sama osoba jest zbawiona w pewnych wersjach rzeczywistości (światach), a w innych jest potępiona. Docelowo przeznaczenie każdego człowieka musi zaprowadzić go do tego samego finału w każdym z równoległych światów. A więc wieczność panuje nad mnogością możliwości – i nie trzeba nauki, by podważyć sensowność koncepcji o światach równoległych; wystarczy religia.

Fantastyczne zabawy z czasem nie mogą więc dotyczyć wieczności. Po prostu nie mają tam wstępu. Każdy nasz wybór uśmierca miliony potencjalnych rozwiązań – możność staje się aktem tylko wobec jednego z wariantów, który odciska się w przeszłości i zastyga w pieczęć czasu dokonanego. Kropla po kropli, aż przestanie płynąć wosk, czyli czas – aż zastygnie ostatnia chwila. Bo później będzie już tylko zerwanie pieczęci – czyli wieczność, która jest kresem czasu...

Ciekawa koncepcja czasu?

Krzysztof Głuch

Kiedy Redaktor Szyda zaproponował kolegom współredaktorom, aby w tym numerze Innych Planet pochylić się nad zagadnieniami czasu, dopadło mnie nagłe znużenie. Zdziwiony tą nagłą niedyspozycją uświadomiłem sobie, że nie spotkałem na tym świecie rzeczy bardziej nieciekawej niż czas. O jakże to podła rzecz i niewarta zamysłu! O jakże okrutny i perfidny przedmiot!

Swego czasu uczestniczyłem w prelekcji, której tematyka otarła się o zagadnienie książek pisanych nie na potrzeby serca, lecz na potrzeby różnorodnych gier, które to książki pisane są ponoć (żadnej nie miałem w rękach) stylem wątłym i z talentem mizernym. Wówczas jeden z uczestników wypowiedział apologetyczne zdanie, które wielu zapadło w pamięć: „Ja to nawet, zamiast czytać jakąś przemądrzałą powieść, to wolę przeczytać książkę z przygodą do któregoś z systemów, w której opisana jest jakaś ciekawa koncepcja czasu.". Rozumiem, że redaktorzy IP (którzy w większości uczestniczyli w tej prelekcji) mają teraz okazję sięgnąć do swoich przepastnych pamięci, wydobyć z nich a następnie oddać wszelkie należne honory legionom napotkanych przez siebie i wielbionych z oddaniem ciekawych koncepcji czasu (w skrócie CiKoCz).

Obawiam się jednak, że ja nie będę w stanie paść na kolana przed żadną z CiKoCzy. Jak już nadmieniłem bowiem (1) czas jest rzeczą ekstremalnie nieciekawą, (2) najbardziej nawet ciekawa koncepcja czasu, jaką jestem w sobie stanie wyobrazić, nie jest ciekawa (wszak mówiłem że czas to nuda), ani nawet nie może uchodzić za koncepcję, bowiem wszystko co śni się w tej kwestii filozofom, ja obserwuje w realnym, jakże codziennym życiu. Ale po kolei, postaram się to wyjaśnić zanim zaziewam się do nieprzytomności.

Dlaczego czas to nieciekawa koncepcja?

A więc wyobraźcie sobie cokolwiek co warto sobie wyobrażać. Możecie sobie wyobrazić Wiarę Nadzieję i Miłość. Ale możecie pomyśleć też o czymś pomiędzy Pychą a Lenistwem. Jest na ziemi paru ludzi, którzy wolą sobie wyobrażać Wolność, Równość i Braterstwo. Można też pomyśleć o innych bardziej lub mniej sensownych koncepcjach np. piłce nożnej, fantastyce rozrywkowej, skali podatkowej, programowaniu obiektowym, kodeksie postępowania cywilnego. Pomyślcie o dowolnej rzeczy, która jest warta, by o niej myśleć. I co? Czy ma ona jakikolwiek związek z czasem? Otóż sądzę, że żadna rzecz, która jest piękna, i która zdaniem poety ma zbawiać świat, musi pozostać nietknięta przez czas. Każda bowiem tych rzeczy sprowadza się albo do grzechu, albo do odkupienia. A zarówno grzech jak i odkupienie to dwójka rodzeństwa, z których każde trwa poza czasem. Gdyby tkwiły one w czasie, to z chwilą odkupienia przestałbym grzeszyć. A wszak grzeszę wciąż. Albo dajmy spokój mnie. Taki Makbet na przykład. Co mi po tym, czy Makbet zabił 4 grudnia po południu, czy 31 sierpnia po śniadaniu. Czy zabił wczoraj, czy zabił pojutrze. Czy zabijał go przez kwadrans, czy przez 30 lat. Wszak to są wszystko ekstremalnie nieistotne szczegóły. Albo czy w tekście „Long ago in a galaxy far, far away..." long ago oznacza 1000 lat, czy może -i*1000 lat. Czy kogokolwiek to obchodzi?

Jedyny ciekawy i istotny czas to bezczas, czyli uwolnienie się od jarzma czasu. Jednoczesne dzianie się wszystkiego. Natchnioną intuicję istnienia tego czasu opisał nam K. Vonnegut w „Rzeźni nr 5" (a więc jednak jest ciekawa koncepcja!). Ufam, że kiedyś zażywać będziemy szczęścia bezczasu. A kiedy to się rozpocznie? W pełni czasu.

Czas to tortura

Do momentu zrzucenia tego nudnego jarzma, tkwimy jednak w tym wyrafinowanym narzędziu tortur. Czas, pomimo że jest marnością i bzdurą - doskwiera nam niezgorzej niż głód, choroby i śmierć. Dzieje się tak od Księgi Rodzaju: „W znoju będziesz z ziemi pokarm zdobywał, po wszystkie dni twojego życia". Tak więc w znoju liczymy dni i godziny naszego

życia. A w dodatku ci co nie liczą, niczym Andrzej Rybiński, czynią doprawdy podle. Czas jest największym, najtrudniejszym do ucieczki więzieniem, w jakim tkwi człowiek. Większym niż grzech, większym niż Radio Zet puszczane dla umilenia podróży przez kierowcę autobusu PKS.

Są rzeczy na niebie i ziemi

Cóż to bowiem za ciekawe koncepcje czasu mogą zostać opisane na kartach najbardziej nawet ohydnego dodatku do gry „Wampir w kosmosie, ecie pecie kukuryku"? Jakie to niestworzoności mogą tworzyć umysły pisarzy, których nie obserwujemy na niebie i ziemi? Wszak czas na co dzień to wór sprzeczności i paradoksów. Wszak czas jest zawsze czymś innym. To co dziś jest przyszłością, jutro jest przeszłością. To co dziś jest przeszłością, jutro przestaje w ogóle istnieć, jak dla przykładu wymazane z naszej pamięci uczynki bliźnich, za które winniśmy wdzięczność. To co wczoraj nie istniało, jak cudza wina, jutro się pojawi, jak nasza zawiść za tą nieistniejącą winę. Kobieta ma tyle samo lat, co trzy lata temu. To co ma trwać tydzień, trwa trzy miesiące, o czym wie każdy, który robił cokolwiek. To, co ma trwać wieczność, jak miłość kochanków, może trwać krócej niż ich późniejsza wzajemna niechęć. To właśnie kochankowie, ale również informatycy, posiadają najbardziej niecodzienne pojmowanie czasoprzestrzeni. Jeżeli jeden programista mówi „za chwilę skończę" oznaczać to może, że skończy za kwadrans albo cztery kwadranse. Jeżeli mówi „to co najmniej tydzień pracy", oznacza, że może to zająć najwyżej dwa dni albo już zostało zrobione. I po cóż mi ciekawe koncepcje?

Może jednak jakaś ciekawa koncepcja

I oto jeszcze jeden czasowy paradoks. Wczoraj nie znałem żadnej ciekawej koncepcji czasu. Dziś znam już trzy. Oto moje „Top 3".

Po pierwsze opisana już sytuacja, w której znalazł się Billi Pilgrim, bohater „Rzeźni numer 5"[1] To nadprzyrodzone uwolnienie się z opresji czasu. Utkwienie we wszechczasie, który jednak ograniczony jest do jednego życia jednego człowieka.

Po drugie wydarzenia opisane w trzeciej, czwartej i piątej części „Władcy Pierścieni", czyli samo jądro Wojny o Pierścień, od momentu rozbicia drużyny, do momentu zniszczenia pierścienia. Odnoszę wrażenie, że wydarzenia te trwały „najmniej rok" (jak mawiał komisarz w filmie „Miś"). Tymczasem okazuje się, że cała ta historia wydarzyła się w ciągu dokładnie 30 dni (włączając w to niezwykle pokrętny fakt, że luty w Śródziemiu ma 30 dni). To niezwykle heroiczne skumulowanie wydarzeń to dowód na to, w jaki sposób można podjąć próbę zwyciężenia czasu przy użyciu jedynie przyrodzonych środków. Bohaterowie Wojny o Pierścień pokonują czas, przez krótką chwilę są zwycięzcami, pomimo determinizmu skazującego ich na porażkę. Jako miłośnicy tych przygód, próbujmy odnosić choćby ułamki takich zwycięstw.

Po trzecie (a liczba trzy, zupełnie nie mam pojęcia dlaczego, u Hebrajczyków symbolizuje czas) przeciekawą feerią koncepcji czasu jest księga opisująca losy proroka Daniela. Księga ta, pokiereszowana przez żydowskich i protestanckich jełopów, na szczęście w naszym rzymskokatolickim kręgu kultury znana jest w pełnym wtórokanonicznym brzmieniu.

[1] Pełny tytuł: „Napisał Kurt Vonnegut Jr. Amerykanin pochodzenia niemieckiego, w czwartym pokoleniu, który obecnie żyje w dobrych warunkach na półwyspie Cod i pali zbyt dużo papierosów, a kiedyś jako zwiadowca amerykańskiej piechoty, Hors De Combat został wzięty do niewoli i był świadkiem bombardowania Drezna, zwanego dawniej „Florencją Nad Łabą", i przeżył, aby opowiedzieć to, co widział. Powieść przypomina nieco Telegraficzno-Schizofreniczne utwory Tralfamadorii, planety, z której przylatują latające talerze. Pokój z Wami.
Rzeźnia numer pięć czyli krucjata dziecięca czyli obowiązkowy taniec ze śmiercią."

Dzięki temu, w przeciwieństwie do braci kalwinów wiemy co śpiewali młodzieńcy w piecu ognistym. Wiemy też, czego chcieli starcy od Zuzanny. Niech historia kiedyś wybaczy tym purytańskim ostracystom.

Sam Daniel to Żydowski Hodża Nasredin. Mędrzec niesamowity o nieugiętej woli. Dość dobrze znane są jego dzieje. Warto jednak nadmienić, że zapewne nie był on herosem żydowskim, ale najprawdopodobniej jakimś fenicko-kananejskim. To jeszcze jeden powód, by szanować i cenić Naród Mojżeszowy.

Księga Daniela to w rozdziałach od 7 do 12 najbardziej typowa apokalipsa (bo trzeba wam wiedzieć, że ta Janowa jest nietypowa). A jak apokalipsa, to wiemy że będzie coś kombinowane z koncepcją czasu. I rzeczywiście po głębszej analizie okazuje się, że w wewnętrznej warstwie, tekst ten nie jest tym, czym jest w warstwie powierzchownej. W warstwie powierzchownej (wspaniałej samej w sobie) dowiadujemy się, jak to Daniel załatwia po kolei rządzących na przestrzeni 75 lat (605-530, ale żeby ich wszystkich „obskoczyć, wystarczyły by też 23 lata, 562-539) królów: Nabuchodonozora, Baltazara, Dariusza (taki w ogóle nie istniał), oraz Cyrusa. Według tekstu księgi królowie ci targali się na potomków Abrahama, a co gorsza na samego Jehowę (w rzeczywistości żaden z nich nie zmuszał do zaparcia się Boga Izraelitów). A w międzyczasie miał Daniel niemało objawień, o tym jak upadają po kolei królestwa, a im dalsze wydarzenia Daniel przepowiadał, tym bardziej czynił to szczegółowo i zgodnie ze znaną nam prawdą historyczną. Na koniec następuje skok w wieczność, a w zasadzie w czas nieokreślony, koniec rzeczy, który nastąpi nie wiadomo kiedy. „Panie, jaki będzie koniec tych rzeczy?", „Idź Danielu, albowiem sprawy te są tajemne i zapieczętowane aż do końca czasu".

Jeden Mostowicz z drugim Danikenem, mógłby w zawiłościach interpretacyjnych tej księgi dopatrywać się niejednej interwencji przybyszów z Des (np. teleportacja Habakuka z Judei do Babilonu). W rzeczywistości Księgi Daniela nie napisał raczej nikt o imieniu Daniel (jak przez wieki sądzono) i nie opowiada ona w warstwie znaczeniowej o Danielu, ani żadnym ze wspomnianych królów. Została ona napisana 360 lat po ostatnim z opisanych, jako teraźniejszych zdarzeń (Daniel, po czynie, na którym wzorował się potem Szewczyk Dratewka, przebywa przez czas jakiś w jaskini lwów). Księga ta została napisana przez pobożnego Żyda około roku 164, w czasach tzw. Machabejskich. W czasach tych król Seleucydów (jedni z hellenistów) Antioch IV podupadł w sztuce postępowania z Narodem Wybranym. To, jak ciężko postępować z tym narodem, najdobitniej można zaobserwować w filmie „Żywot Briana". Trzeba niemało wiedzy i wyczucia by pojąć specyfikę dzieci Jakuba. Antioch IV to wyczucie postradał i z nieznanych nam przyczyn postanowił zrobić w Judei Rewolucję Francuską i mordował tych, którzy nie czcili bałwanów (jak to było naprawdę, to też nie wiemy, Antioch wcale nie musiał być taki winien wszelkiemu złemu, ale znamy tylko relacje historyków Narodu Wybranego, którzy już o swoje zadbali). W historii świata jeszcze nikt tak nowatorsko nie postępował. A było to bardzo głupie, bo Żydzi się wzięli i Seleucydów załatwili, a sam Antioch umarł i teraz MS Word zamienia jego imię na „Tanioch".

I to właśnie na Antiochu, pod szafarzem czy to Nabuchodonozora, czy Baltazara, czy innych, wyżywają się autorzy Księgi Daniela. Pognębiają go doszczętnie. Ale wszak nie tylko jego. Gnębią wszystkich głupców na świecie, którym się wydaje, że mogą sobie bezkarnie organizować przeróżne Rewolucje Francuskie.

A koncepcja czasu? Czyż nie jest zawrotna? Autor udaje, że jest Danielem, cofa się o 400 lat i pali w przód z cudownej armaty czasu, żeby te 400 lat spłynęły niczym lawina błota na Antiocha i wszystkich jego następców. Ale to nie wszystko! Kiedy autor dociera do współczesności, jest już tak rozpędzony, że wykonuje śmiały skok w przód, w proroctwo, w pełnię czasu, w opis Królestwa Syna Człowieczego (a to już odrębne pytanie, kim on jest). Czy słyszeliście o takim stylu pisania? Gdzież tu SF bliskiego i dalekiego zasięgu, gdzie tu historie alternatywne? Czyż nie jest to przeciekawa koncepcja czasu?

I starczy tego pisania. Bo „czas jest krótki", a „dni są złe". Po naprawdę sążnistą publicystykę zapraszam na sąsiednią stronę.

Król jest nagi

czyli o politycznej poprawności

Lech Jęczmyk

Poprawność polityczna to narzucanie ludziom sposobu myślenia, przybierające w zasadzie formę ustalania obszarów tabu, listy tematów zakazanych. „Tędy nie idź, tam nie wchodź, teren zaminowany." Zakazując używania pewnych słów, terminów, pozbawia się ludzi narzędzi do myślenia, obudowuje się myśl ludzką barierami, pędzi się ją utartym szlakiem.

> *Wiele rzeczy nie powstało z niemożliwości ich nazwania.*
> *(St. J. Lec)*

Jest to bardzo podobne, właściwie tożsame z cenzurą hitlerowską czy komunistyczną, która wymagała np. stałych epitetów przy wymienianiu imienia wodza (jak w Iranie za czasów szacha, czy w Arabii Saudyjskiej obecnie), prowadziła listę tematów i nazwisk zakazanych (tak zwany „zapis") i wymagała stosowania ustalonych zbitek pojęciowych, blokujących myślenie.

> *Sztuka dydaktyczna, to również ta, która oducza myśleć.*
> *(St. J. Lec)*

W komunizmie sprawa była jasna: istniał Urząd Kontroli Prasy i Wydawnictw, Wydział Prasy i Wydział Kultury Komitetu Centralnego oraz Wydział Książki w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Wszystkie te instytucje mogły wydawać pisemne i ustne poufne i tajne dyrektywy zakazujące publikacji danej pozycji lub autora w ogóle (tak zwana cenzura podmiotowa). Wszystkie też (prócz cenzury) mogły nakazywać wydanie pozycji pożądanej. Wiadomo było, kto kontroluje, w czyim interesie i na podstawie jakiej ideologii.

A kto określa zasady politycznej poprawności, w czyim interesie i według jakiej ideologii? Wydaje się, że postawienie tych pytań powinno być czymś oczywistym, ale nieznany „ktoś" zatroszczył się o to, żeby samo ich postawienie było politycznie niepoprawne. Drążenie tej kwestii naraża na najcięższy z zarzutów – uleganie tzw. „spiskowej teorii dziejów". Jeżeli – zgodnie z polityczną poprawnością – odrzucimy teorię spisku, pozostaje nam wierzyć w teorię samorództwa politycznej poprawności. Wiadomo, że jej realizatorami są redaktorzy naczelni prasy, dyrektorzy stacji radiowych i telewizyjnych oraz rektorzy wyższych uczelni, którzy w USA już bez skrępowania publikują listy tematów i słów zakazanych. Tylko dlaczego wszyscy w tym samym czasie wpadają na ten sam pomysł?

Pod koniec „realnego socjalizmu" cenzurujące urzędy próbowały ukryć się pod czapką niewidką. Początkowo wzywano do urzędu redaktorów poszczególnych książek, potem kierowników redakcji, a na końcu już tylko dyrektorów wydawnictw. O tym, że miała miejsce ingerencja cenzury nie wolno było wspomnieć podwładnym – każdy kolejny pracownik wydawnictwa, któremu przypominano, że jest „pracownikiem frontu ideologicznego", miał twierdzić, że to on ma zastrzeżenia do tekstu. Tyle, że zasłona dymna była całkiem przejrzysta i każdy wiedział, skąd wychodzą dyrektywy. A jak to jest z polityczną poprawnością? Tutaj mechanizm jest znacznie sprawniejszy, a zasłona szczelniejsza. Przypomina się taka (kara pięć lat) anegdota z czasów stalinizmu. Na zebraniu sekretarz partii odpowiada na pytania z sali. Wstaje Wiśniewski i mówi: na poprzednim zebraniu Kowalski spytał, dokąd wywozi się polski węgiel. Ja nie chcę wiedzieć, co się dzieje z węglem, ja pytam, co się stało z Kowalskim.

Ideologię politycznej poprawności można odtworzyć, rysując linie, za którymi jest teren zakazany. Wówczas w środku pozostanie kontur tego, co dozwolone, a jego rdzeniem będzie to, co wskazane. Trudniej będzie ustalić,

kto wyznacza te kontury. Najprościej byłoby przyjąć, że rektorzy i redaktorzy naczelni należą do jakiejś jednej tajnej organizacji, ale to byłoby już niewybaczalnym naruszeniem politycznej poprawności.

Ta nowa ideologia nie ma więc oficjalnego ojca, choć ktoś płaci alimenty na jej rozpowszechnianie. W miarę, jak się umacnia, ujawnia coraz wyraźniej swój charakter antychrześcijański. Stosuje się przy tym wymyśloną przez Stalina „taktykę salami", czyli krojenia po plasterku.

Najpierw atakuje się Radio Maryja, potem inne organizacje i fundacje, wreszcie Kościół Katolicki w całości, aż przyjdzie kolej i na protestantów. Potężną bronią jest tu wikłanie poszczególnych parafii i diecezji w procesy odszkodowawcze, co daje rozłożone na raty takie same rezultaty jak rekwizycja dóbr kościelnych przez Cromwella w Anglii czy przez komunistów w ubiegłym wieku. A co wobec tego z inną wielką religią – islamem? W państwach południa Europy – Hiszpanii, Włoch, Francji – a ostatnio także Anglii islam podlega szczególnej ochronie. Za słowa krytyki pod jego adresem można się narazić na procesy sądowe, o czym przekonały się dawna gwiazda filmu Brigitte Bardot i szalona zamerykanizowana Włoszka Oriana Fallaci. Rząd szwajcarski zażądał nawet jej ekstradycji, ponieważ z oskarżeniem wystąpiło Stowarzyszenie Szwajcarskich Sudańczyków, czy też Sudańskich Szwajcarów. Nigdy natomiast nie trafiłem na informację, że w tych niegdyś katolickich krajach oskarżono kogoś o obrazę chrześcijaństwa. Wygląda to tak, jakby bezimienne „władze" pogodziły się z nieuchronną islamizacją swoich krajów i torowały drogę przyszłym zwycięzcom.

> *O epoce więcej mówią słowa, których się nie używa, niż te, których się używa.*
> *(St. J. Lec)*

Nie wiadomo komu toruje się drogę w Stanach Zjednoczonych, walcząc z Dziesięciorgiem Przykazań. Otóż tablice Mojżeszowe, zwykle tylko z numerami, tradycyjnie wieńczyły w USA budynki sądów, jako symbol prawa w ogóle. Od paru lat trwa akcja skuwania tych kamiennych symboli z budynków sądów, bo organizacja obrońców swobód obywatelskich (ACLU) nie życzy sobie, żeby obywatelom zakazywano kraść, zabijać, kłamać i zwłaszcza cudzołożyć. Ta sama organizacja doprowadziła do zakazu pomocy państwa dla skautingu, ponieważ w jego statucie występuje słowo Bóg.

Szczególną ochroną obejmuje się też homoseksualizm. W Szwecji skazano na więzienie pastora, który w czasie kazania powiedział, że homoseksualizm to grzech. Wnioski z tego dwa: po pierwsze policja szwedzka podsłuchuje i nagrywa kazania, niczym u nas w czasach PRLu; a po drugie szwedzkie totalitarne państwo chce decydować o

Supersamiec i ciota zaprezentowani w filmie „Wojownik szos" znanym też jako „Mad Max II" (red.)

kształcie religii, ponieważ grzech to pojęcie z dziedziny nie prawa, a teologii.
Homoseksualiści dla wzmocnienia swej pozycji przetargowej lubią się przedstawiać jako ofiary hitleryzmu i ustawiać w jednym szeregu z Żydami, choć Żydów zginęło 6 milionów, a homoseksualistów 6 tysięcy (znacznie mniej niż cyklistów) i to nie dlatego, że ich mordowano, a dlatego, że warunki w obozach czy to niemieckich, czy sowieckich generalnie nie sprzyjały długowieczności. Zapomina się przy tym nadmienić, że jednym ze źródeł nazizmu był kult spartańskich i nordyckich pederastycznych wojowników supersacmów (dziś nawiązują do tej tradycji znani z filmów amerykańscy motocykliści). Pewne przykrości spotykały wyłącznie nieprzydatne w roli wojowników tzw. cioty.
O kim teraz nie wolno będzie bąknąć krytycznie? Może o nekrofilach. W roku 2002 prezydent Francji Chirac specjalnym – na razie – dekretem zezwolił pewnej pani na ślub z policjantem, który zginął kilka miesięcy wcześniej w wypadku drogowym. Notatka prasowa nie wspomina, czy trumnę (bądź urnę) ekshumowano i wniesiono do urzędu stanu cywilnego. Dekret nie wspomniał, jak świeży musi być nieboszczyk, co stwarza perspektywę ślubów z dawno zmarłymi kawalerami i wdowcami, oraz dziedziczenia po nich na przykład zamków.
A mówiąc poważnie, polityczna poprawność, uniemożliwiając nazwanie pewnych problemów, tym samym uniemożliwia lub opóźnia przystąpienie do ich rozwiązywania. Spuszczając na wiele tematów żaluzje milczenia, polityczna poprawność zakłamuje obraz świata, a to właśnie było najgłębszą przyczyną upadku systemu komunistycznego. Żeby uniknąć powtórki tego pogrzebu, trzeba po prostu nazywać rzeczy po imieniu czyli mówić prawdę. Wymaga to nie tyle inteligencji, co przełamania bariery strachu, bo kłamstwa należy wymyślać, a prawda jest.

Nie trzeba się kłaniać Okolicznościom,
A Prawdom kazać, by za drzwiami stały.
(C.K. Norwid)

Opowieść o Strefie w każdym z nas

Rozmowa z prof. Edmundem Wnukiem-Lipińskim - autorem cyklu powieściowego „Wir pamięci", „Rozpad Połowiczny" i „Mord Założycielski"

Panie Profesorze, w jaki sposób powieści takie jak „Wir pamięci" (wydany w 1979r.), bardzo mocny, brutalny „Rozpad połowiczny" (1988r.) oraz „Mord Założycielski" (1989r.) mogły się ukazać w Polsce Ludowej? Jakie napotykały one problemy z ówczesną cenzurą?

Z przyjemnością o tym opowiem. Przygody z opublikowaniem tych tekstów brzmią same trochę, jak powieść sensacyjna. „Wir Pamięci" został napisany w roku 1975. Jego akcja pierwotnie toczyła się w realiach warszawskich, a nazwiska bohaterów były polskie. Złożyłem to w Czytelniku za namową Lecha Jęczmyka. Najpierw tekst długo leżał, a potem nastąpiła następująca reakcja: „To bardzo interesująca powieść, ale nie możemy jej opublikować, chyba że przeniesie się akcję na wyspę i nie będzie w niej występować ani jedno polskie nazwisko". Nie mogło się również ukazać motto, z którego to motta zaczerpnąłem tytuł powieści – fragment wiersza Baczyńskiego. Przystałem na to i paradoksalnie myślę, że powieść na tym zyskała. To jeden z niezliczonych paradoksów ówczesnego czasu. Tekst przestał być doraźną publicystyką i stał się bardziej ogólną metaforą. Następnie trwały boje ale już nie o to co powinno być zmienione (bo już nie było co zmieniać), ale czy powieść powinna zostać wydana. W końcu ukazała się ona pod koniec lat siedemdziesiątych. Powieść ta była próbą odpowiedzi na pytanie, które zaczęło mnie nurtować właśnie pod koniec lat siedemdziesiątych: „Jak wyglądał by świat i człowiek, gdyby komunizm odniósł sukces ekonomiczny?". Wszystkie inne czynniki pozostawiłem bez zmian. Bezpośrednim impulsem do napisania „Rozpadu połowicznego" była śmierć Grzegorza Przemyka. Ta powieść jest z kolei próbą odpowiedzi na pytanie: „Czy jeżeli człowieka bije się odpowiednio mocno, to czy wszystko można z nim zrobić?". Czy w człowieku istnieje takie residuum, które się nie podda, choćby presja była najsilniejsza? Powieść stara się przekazać, że takie residuum jednak istnieje. W każdym z nas tkwi Strefa, tylko nie wszyscy o tym wiemy. Nie każdy też znajduje się w takich okolicznościach, które tę Strefę uaktywniają.

„Mord Założycielski" powstawał już po stanie wojennym, w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, kiedy komunizm chylił się ku upadkowi. Pytanie, jakie zadałem w tej powieści, to: „Jakie wyłoni się z takiego upadku społeczeństwo, jeżeli nie będzie to społeczeństwo moralne, jeżeli z tego społeczeństwa zostaną wykorzenione pojęcia godziwości i niegodziwości oraz umiejętność odróżniania tych dwojga?" Dlatego lovici odgrywają tam tak ważną rolę i dlatego ich sojusznikami są byli eksperci z tamtejszego apara-

tu władzy, którzy teraz zmienili barwy i starają się wylądować w nowej rzeczywistości. Takich ludzi często historia wynosi na uprzywilejowane pozycje. Tak więc książka intuicyjnie przewidywała, że będziemy mieć kłopoty z pustynią moralną, którą komunizm wprowadził w polskim społeczeństwie.

W świetle tego co Pan powiedział o początkowym umiejscowieniu akcji w Warszawie, jasne wydają się pewne pozostałości, takie jak na przykład pomnik siedzącego astronoma. Taki pomnik znajduje się chyba tylko w Warszawie.

Ten element zostawiłem specjalnie. Pozostawiłem takie ślady z realiów warszawskich, które podpowiadają, że akcja w rzeczywistości dzieje się gdzie indziej.

Drugim elementem, który podpowiada pewne realia to czas dziania się powieści – cokolwiek symboliczny rok 2044. Taka data może wskazywać na wydarzenie się drugiego „mordu założycielskiego", czyli jakby przyjście drugiego Mesjasza.

Ta data oczywiście może być w ten sposób interpretowana, ale rzeczywiste przyczyny były bardziej trywialne. Jest to data dokładnie sto lat po moim urodzeniu (1944), kiedy najprawdopodobniej nie będę już żył i na pewno nie będę widział tego, co się dzieje. Ale w polskiej kulturze liczba czterdzieści cztery ma różne znaczenia i symbole, w związku z czym tym chętniej zdecydowałem się na ten rok.

Nawiązując do czasu wydania „Mordu założycielskiego", z książki tej bije olbrzymia intuicja tego, co za chwilę się wydarzy, co działo się w zasadzie w momencie publikowania powieści. Dodatkowo ta intuicja nie ma zamiaru zachłysnąć się wolnością. Zakończenie książki jest bardzo pesymistyczne, bo przewiduje powstawanie kolejnych murów dokoła nas. Czy były to wnioski całkowicie świadome?

Całkowicie.

Tytuł „Rozpad połowiczny" nasuwa wiele skojarzeń. Jakie było jego zamierzone znaczenie?

Tytuł oddaje w sposób metaforyczny to co się stało i co się dzieje z każdym systemem, który upada. Proces upadku, analogicznie do rozpadu pierwiastków radioaktywnych trwa bardzo długo i musi minąć cała epoka, żeby ślady po dawnym systemie rzeczywiście zniknęły, rozpadły się.
A'propos tego tytułu przeprowadziłem kiedyś eksperyment formalny dotyczący przenikania się środowisk. Nadałem dokładnie taki sam tytuł jednej ze swoich książek socjologicznych. Nikt nie zauważył tego dowcipu. Środowiska socjologiczne nie czytają fantastyki. Miłośnicy fantastyki nie czytają prac socjologicznych.

W nawiązaniu do podwójnej osobowości naukowców-literatów, często jest tak, że pisarstwo jest sposobem na rozwinięcie pomysłów wywodzących się z pracy naukowej.

Tak to prawda, „Wir pamięci" właśnie dlatego powstał, bo stwierdziłem, że te niepokoje, które odczuwałem w połowie lat siedemdziesiątych, są nie do wyrażenia w konwencji akademickiej. Tam musi być teza, dowód itd. Dlatego powstał pomysł wyrażenia tych intuicji w konwencji literackiej. Pozwoliło mi to wprawdzie spożytkować wiedzę socjologiczną, ale jednocześnie ta wiedza trochę spłaszczyła postacie. Mogły być one bardziej krwiste.

Właśnie „Wir pamięci" odznaczał się bardzo sprawną konstrukcją powieści sensa-

cyjno-kryminalnej. Czy Pan opierał się inspirował jakimiś wzorcami np. z Zachodu?

Właśnie nie. „Czytelnik" podejrzewał, że inspirowałem się powieścią „Rok 1984" i nawet mi ją dostarczył w języku angielskim, a ja ją dopiero wtedy miałem okazję przeczytać. Ta książka była inspiracją dla późniejszych powieści.
Wspomnę też o innym epizodzie. Kiedyś Piotr Szulkin nosił się z zamiarem zekranizowania „Wiru Pamięci". Poprosił mnie wówczas o dostarczenie tzw. „drzewka" opisującego wszystkie relacje pomiędzy bohaterami powieści. Nie miałem pojęcia, że właśnie tak konstruuje się powieści sensacyjne. „Wir pamięci" pisałem w takim przekonaniu, że chcę wyrazić swoje przemyślenia, ale w formie atrakcyjnej dla czytelnika. Cały mój „warsztat" opierał się na jednym założeniu - „to nie może być nudne".

Pozwolę sobie zauważyć, że to widać bardzo wyraźnie, iż „Rok 1984" przeczytał Pan dopiero po napisaniu „Wiru pamięci". Natomiast nawiązując do postaci wspomnianego już Piotra Szulkina, chciałbym się spytać, czy czuł się Pan bardziej jako członek nurtu reprezentowanego przez Szulkina, Oramusa i przede wszystkim Zajdla, czy też bardziej jako twórca o samodzielnych inspiracjach.

Oczywiście należałem w tamtych latach to do tego środowiska i jeździłem na imprezy podobne do tej, która odbędzie się teraz u was w Błażejewku. Jednak nigdy nie miałem takiego poczucia, że należę do tej grupy. Zawsze byłem jednak trochę z boku. Z Januszem Zajdlem poznałem się dopiero po opublikowaniu jego pierwszych powieści. Tak więc moje i jego teksty powstawały niezależnie, ale fakt że były one bliskie znaczeniowo, dowodził że coś wisiało w powietrzu.

Parowski pisząc o książkach z tego nurtu podzielił je na takie w których, jak np. w „Wojnie Światów" Szulkina społeczeństwo jest poddawane zewnętrznej opresji i takie, i tu umiejscowił trylogię o Apostezjonie, w których społeczności „same sobie robią kuku". Dlaczego obserwując świat za oknem, który był jednak zniewolony przez zewnętrznego najeźdźcę, zniewolił Pan mieszkańców Apostezjonu ich własnymi rękami?

Moim problemem było to, na ile w warunkach opresji ludzie są w stanie zachować wolność. Zachowanie bowiem wolności w stanie zewnętrznej wolności to jest sprawa trywialna. Wolność jest stanem wewnętrznym i nie jest to kwestia rozmiaru prześladowań. Nawet w najbardziej opresyjnym społeczeństwie jest się w stanie zachować wewnętrzną wolność. W „Rozpadzie połowicznym" bohater nie poddaje się, choć jest poddawany praniu mózgu na wzór chiński. Miałem bowiem okazję poczytać o metodach stosowanych w Chinach w czasie Rewolucji kulturalnej.

Zawarte w „Rozpadzie połowicznym" enigmatycznie opisane echa przeszłości przypominają właśnie wydarzenia podobne tym z których słynie Rewolucja kulturalna.

Tak, nawiązania do Rewolucji kulturalnej są jak najbardziej na miejscu, ale każdy przełom o takim charakterze cywilizacyjnym, kiedy gorsza cywilizacja wypiera lepszą, wiąże się z drastycznym rozbratem z przeszłością.

Zaskakująca wydała mi się kluczowa rola, jaką pełnili w sprawowaniu władzy naukowcy. Czy rzeczywiście mieli oni w swych rękach władzę, czy była to jedynie atrapa dla zakulisowych działań Sił Bezpieczeństwa?

Każdy system, zwłaszcza jeżeli jest to system autorytarny, musi na czymś opierać swoją prawomocność czy, jak mówią socjologowie, legitymizację. Dzięki temu ludzie wykonują polecenia nie tylko dlatego, że są do tego przymuszeni. Nawet najbardziej totalitarny system szuka takiej prawomocności. Tak było w nazizmie i komunizmie. Tutaj było trochę inaczej, bo legitymizacja wypływała nie z ideologii ale z wiedzy. Oni rządzą, bo wiedzą najwięcej, bo są najmądrzejsi. Starałem się pokazać do czego może prowadzić idea platońska, w której filozofowie rządza państwem.

Wydawało mi się, że od czasu „Popiołu i Diamentu" pracownicy Służb Bezpieczeństwa byli ze zrozumiałych względów w polskiej literaturze traktowani jak święte krowy. Innym się czasem coś oberwało, ale ich przedstawiano zawsze w pewnym korzystnym świetle. Tymczasem, zwłaszcza w „Rozpadzie połowicznym" używa Pan sobie bardzo mocno na tych ludziach, których w sposób kapitalny nazwał Pan TeBekami. Czy nie było z tym problemów?

O dziwo to nie było problemem. Trzeba pamiętać, że w PRLu toczyła się osobliwa gra między cenzurą a twórcami. Konwicki to świetnie opisał: „Ja udaję, że nie wiem o co chodzi, a wy musicie to tak zakamuflować, żebym ja mógł udawać, że nie wiem o co chodzi."
Za przedstawieniem postaci TeBeków kryła się myśl taka, że aby wykonywać ten zawód w tym systemie, trzeba mieć pewne funkcje psychiczne i emocjonalne na bardzo niskim poziomie.

W społeczeństwie Apostezjonu religia została w sposób bardzo silny wyrugowana ze świadomości ludzi. Wprawdzie niektóre postacie tych trzech powieści poszukują Boga bądź Chrystusa, ale czy nie jest to nierealne, że społeczność w tak krótkim czasie została tak mocno pozbawiona transcendencji?

Ono nie zostało pozbawione transcendencji. Ono zostało pozbawione infrastruktury transcendencyjnej – kościołów, księży, liturgii, miejsc kontemplacji itd., dlatego że eksperci tkwili w paradygmacie skrajnie pozytywistycznym. Ale duchowość w ludziach pozostaje w tym sensie, że w każdym człowieku jest poryw metafizyczny, tęsknota za eschatologią, za zrozumieniem ostatecznych celów. W przeciwnym razie człowiek ginie w otchłaniach absurdu. W każdym człowieku jest taki poryw, tylko jedni uznają go za przemijającą słabość ducha, chwilowe zainteresowanie rzeczami nieistotnymi, a dla innych jest to początek coraz głębszego zastanawiania się nad tym, czy śmierć jest już końcem wszystkiego i rozpadniemy się tylko do minerałów, czy też jak uważa jeden z bohaterów „Rozpadu połowicznego", jest to rodzaj promocji do wyższej klasy i zastanawia się co trzeba zrobić, żeby tą promocję uzyskać.

Ostatnie pytanie dotyczy żyjących pierwowzorów literackich postaci. Czy w Pańskich powieściach takie występują? Czy na przykład Grzegorz Przemyk jest alger ego bardzo istotnej postaci Długiego?

Nie w tych powieściach nie ma ani jednej postaci, która w sposób przeważający odpowiadałaby postaci z życia realnego. To są wszystko konstrukcje syntetyczne. Nie mógłbym wskazać żadnego bezpośredniego alter ego.

Oprócz Kopernika.

Tak jest, oprócz Kopernika.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Krzysztof Głuch

Rozmowa z przyczyn „logistycznych" nie mogła zostać zautoryzowana.

GO

Wojciech Jerzy Grygorowicz

Historia niezwykła jak

druga część tryptyku*

Hiru patrzył na drzwi tajemniczego pokoju mistrza. Czuł strach i równocześnie cieszył się, że nadchodzi dawno oczekiwany moment. Zbliżała się chwila, dla której poświęcił całą swą młodość i znaczną część dzieciństwa. Nie czuł się z tego powodu pokrzywdzony. W jego kraju, jeśli chciało się w czymkolwiek odnieść sukces, rozpoczynało się bardzo wcześnie i oddawało się wybranej rzeczy całym sercem. Ten bowiem kto nie wykorzystał swojej szansy, zazwyczaj nie dostawał już nowej. Taka była tradycja państwa od wieków cierpiącego na nadmiar ludności. Gdzie kultura nie znała pojęcia indywidualizmu i nie liczyła się z pragnieniami jednostki. Kraju gdzie bunt przeciw obowiązującym zasadom był oznaką słabości, a nie siły.

Jak wszyscy jego koledzy Hiru zaczął jako dziecko, a że miał talent, w wieku ośmiu lat miał już najniższy amatorski stopień mistrzowski. W tym samym roku opuścił rodzinny dom i zamieszkał w dojo swego mistrza. Taki był zwyczaj i decyzja jego rodziców. Dlaczego wybrali oni szkołę Mistrza Norio? Pewnie dlatego, że była najlepsza. Uczniowie tej uczelni wygrywali prawie wszystkie liczące się turnieje. Ich opisywała prasa, oni byli idolami młodych graczy. To, że część absolwentów była jakaś dziwna... Dla tych którzy zadecydowali o karierze Hiru widać nie miało to znaczenia. To dopiero on zrozumiał, że szkoła do której go oddano skrywa jakąś mroczną tajemnicę. Gdy w nocy, we wspólnych sypialniach, starsi koledzy zaczęli opowiadać dziwne historie, poczuł strach. Były to opowieści o tajemniczej rozmowie z mistrzem, jakiej dostępuje najlepsza dwójka z ostatniej klasy. Spotkanie to odbywało się niezmiennie na sali w środku budynku szkoły. W miejscu gdzie poza samym sansej'em nikt nie miał wstępu. Po kilkunastu minutach młodzi adepci wychodzili z pomieszczenia, lecz według słów pozostałych byli jacyś dziwni. Nie poznawali swych znajomych, nie dowcipkowali, a ich oczy traciły młodzieńczy blask. Wkrótce opuszczali mury szkoły i bardzo szybko w specjalistycznych pismach, każdy mógł znaleźć opisy ich zwycięskich partii.

Hiru szybko zorientował się, że w owym nocnym straszeniu, było coś więcej niż dokuczanie młodszym kolegom. Dobrze wiedział, że każdy ma swój indywidualny „sposób na grę" (cóż, w GO mimo wszystko indywidualizm był dopuszczalny). Jedni grali ostrożnie, inni agresywnie, jedni lubowali się w taktyce, inni preferowali strategię. Wszystkie te elementy składały się na swoisty styl grającego. Styl charakterystyczny dla danego gracza. I tak samo jak cechy charakteru - bardzo trudny do zmiany.

Gdy jednak Hiru w bibliotece analizował turniejowe partie swego starszego kolegi, z którym rozegrał niejeden zacięty pojedynek, nie mógł rozpoznać sposobu gry swego przeciwnika. Były to partie zupełnie różnych osób. Zaczął się bać, lecz z czasem siłą stłumił w sobie lęk. GO już wtedy stało się dla niego wszystkim i nie wyobrażał sobie życia bez gry.

**Pierwsza część tryptyku - „Legenda o GO" ukazała się w 13 nr IP*

Teraz jednak, gdy siedząc przed wejściem do sali, przypomniał sobie to wszystko, strach wrócił. Szybko się opanował. Nie mógł już się wycofać. Za sobą miał osiem lat ciężkiej pracy. Solidnie zapracował na miano jednego z dwu najlepszych. Kosztowało go to wiele wysiłku, wyrzeczeń i jeszcze więcej zszarganych nerwów. W szkole było bowiem bardzo niewiele przyjaźni i wspólnej pracy, a znacznie więcej zawiści. Koledzy zazwyczaj patrzyli na siebie jak na wrogów stojących na przeszkodzie do wymarzonego awansu. Wszak nie każdy otrzymywał prawo do rozmowy w tejemniczym pokoju. Co roku część podopiecznych mistrza rezygnowała sama. Inni musieli opuścić dojo, ponieważ nie spełniali ostrych wymogów szkoły. Jedynie czterech najlepszych z każdej klasy przechodziło na wyższy stopień wtajemniczenia. Czterech najsłabszych spadało niżej. Najgorsza czwórka z najniższej klasy bezwarunkowo musiała opuścić szkołę. Na ich miejsce mistrz przyjmował innych starannie wyselekcjonowanych nowicjuszy. Nauka jednak nie mogła trwać wiecznie. Jeśli do osiemnastego roku życia uczeń nie znalazł się w czwórce absolwentów, również rozstawał się z uczelnią. Najlepsi stawali do rywalizacji z innymi szkołami. Dopiero na zwycięzców tej rozgrywki czekały tytuły mistrzów zawodowych. Potem była trudna i mozolna kariera zawodnicza. Zdobywanie coraz wyższych stopni i w końcu walka o najwyższe laury. Było jednak coś, co przyspieszało karierę. Tym czymś była właśnie owa rozmowa z mistrzem. Dwóch z czterech uczniów opuszczających szkołę jej dostępowało. Dwójka ta już po dwóch, trzech latach była wśród elity graczy, podczas gdy dwu pozostałych zazwyczaj przez całe dziesięciolecia mozolnie przebijało się przez kolejne stopnie mistrzowskie.

Jemu udało się zdobyć to wymarzone miejsce w najlepszej parze i wszystko zawdzięczał sobie. O tak... Naprawdę solidnie zapracował na swój sukces. Dlaczego zatem teraz miałby zrezygnować ze swej szansy i to w imię niczym nie popartych absurdalnych lęków?

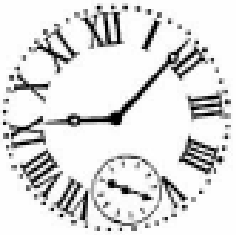

Otrząsnął się z nękających go myśli. Spróbował nawet uśmiechnąć się do siedzącego obok kolegi. Tamten jednak jakby zamyślony, nie odwzajemnił życzliwego spojrzenia. „Wstrętny zarozumialec. Zdał z pierwszą lokatą i uważa się za coś lepszego.” - z niechęcią pomyślał Hiru. Zaraz jednak zapomniał o złości. Oto bowiem rozległ się gong, po czym bezszelestnie otwarły się drzwi tajemniczej komnaty. Obaj uczniowie wstali ze swych miejsc i obaj zamarli w bezruchu, niepewni co mają zrobić.

- Wejdźcie do środka - głos mistrza dobiegł do nich ni to z góry ni to z wnętrza tajemniczej sali. Posłusznie ruszyli naprzód, przekraczając granicę legendarnego pokoju. Gdy znaleźli się w środku, drzwi zamknęły się natychmiast, lecz oni nie zwrócili na to uwagi. Sala, do której weszli, była naprawdę niezwykła. Pomalowane na biało ściany, sufit i podłoga sprawiały wrażenie, że stoją zawiesze-

ni w jakiejś bezkresnej pustce. Iluzję tą burzył jedynie stojący pośrodku pokoju stolik do gry. Tradycyjnie wykonany z czereśniowego drzewa, bez żadnych ozdób, ale jakże piękny. Po przeciwległych stronach stołu stały dwa niskie krzesła i proste w formie pudełka z kamieniami do gry.

- Zajmijcie miejsca - zakomenderował niewiadomo skąd płynący głos San sej'a.

- Zgodnie z tradycją naszej szkoły - kontynuował mistrz, gdy wykonali polecenie. - Dwaj najlepsi uczniowie, którzy opuszczają szkołę, staczają ze sobą pożegnalny pojedynek. Zanim jednak zaczniecie grę musicie złożyć przysięgę, że każdy z was zrobi wszystko by wygrać tę partię i włoży w nią maksimum zaangażowania. Czy jesteście gotowi dać mi taką obietnicę?

Hiru popatrzył ze zdziwieniem, na swego kolegę. W grę zawsze wkładał całe serce. Czy gdyby było inaczej, znalazł by się w najlepszej dwójce? Dlaczego zatem mistrz chciał teraz specjalnej przysięgi? Jego towarzysz zdawał się jednak nie podzielać jego zaskoczenia.

- Tak, Mistrzu - odpowiedział pewnym i beznamiętnym głosem.

- Tak, San sej - powtórzył Hiru nieco mniej odważnie.

- Zatem zaczynajcie - zakomenderował mistrz, gdy dopełnili ceremoniału. - Pamiętajcie, że nie będziecie mogli opuścić sali, zanim nie skończycie gry.

Oni jednak siedzieli już na krzesełkach i gotowali się do rozpoczęcia partii. Powtórnie zabrzmiał gong, ale tym razem dziwnie przytłumiony, jakby dobiegający z daleka. I wtedy zaczęło dziać się coś dziwnego. Hiru właśnie przymierzał się do postawienia pierwszego kamienia. Zgodnie z pradawnym rytuałem winien go postawić w prawym górnym rogu planszy. Jego dłoń trzymająca czarny pion wisiała już nad odpowiednim miejscem, gdy ze zdziwieniem stwierdził, że brzeg planszy nie jest tam, gdzie powinien. Przesunął rękę, lecz róg tablicy ponownie mu uciekł. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że postać jego kolegi odsuwa się od niego. Nie! To nie towarzysz się odsuwał. To rosła plansza. Tablica pęczniała, jakby rozpychając na boki grających. Hiru bezmyślnie wpatrywał się w malejącą postać kolegi. Dopiero gdy tajemnicze zjawisko ustało zerwał się i pobiegł w kierunku ledwie już widocznego towarzysza. Dobiegli do siebie po ponad minucie biegu, po czym objęli się mocno jakby sprawdzając, czy oni sami nie są złudzeniem. Twardy uścisk przyniósł ból, lecz upiorna, gigantyczna plansza ciągle stała naprzeciwko nich. Jego towarzysz nagle usiadł w kucki. Hiru jakoś odruchowo przysiadł obok niego, tępo patrząc na to co było przed nimi, ciągle pełen nadziei, że w końcu obudzi się z koszmarnego snu. Siedzieli tak razem jakiś czas. Wreszcie milczenie przerwał kolega.

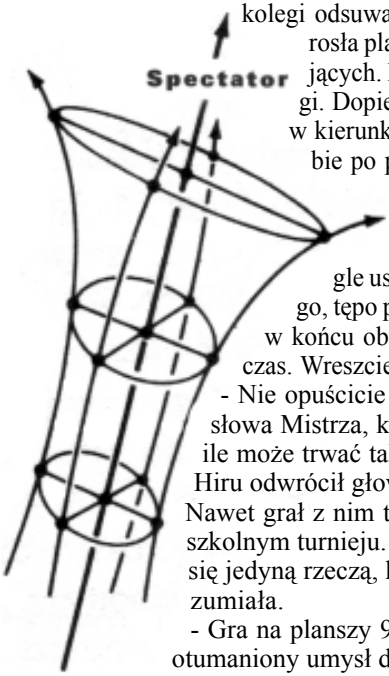

- Nie opuścicie sali, zanim nie ukończycie gry - powtórzył ostatnie słowa Mistrza, które teraz nabrały nowego, znaczenia. - Jak myślisz, ile może trwać taka partia?

Hiru odwrócił głowę w jego stronę. Nigdy nie lubił tego zarozumialca. Nawet grał z nim tylko wtedy, gdy skojarzyło ich z sobą losowanie na szkolnym turnieju. Teraz jednak towarzysz był dla niego oparciem. Stał się jedyną rzeczą, która w nowej rzeczywistości pozostała pewna i zrozumiała.

- Gra na planszy 9 na 9 trwa bardzo krótko - odpowiedział zmuszając otumaniony umysł do myślenia. - Partia na tablicy 13 x 13 dwa razy dłu-

żej, ale by rozegrać nawet szybką partię na planszy 19 x 19 potrzeba już minimum półtorej godziny. To coś... - Hiru spojrzał na gigantyczny prostokąt przed nimi. - Ma około 600 metrów, znaczy to, że mamy do czynienia z planszą... Jakiś 30 tysięcy na 30 tysięcy - zamilkł na chwilę by po dokonaniu w myślach kolejnych rachunków kontynuować. - W takim razie długość tego świństwa jest jakieś 1500 razy większa od standardowej tablicy, a jego powierzchnia ponad dwa miliony razy większa. Przyjmując, że czas również będzie dwa miliony razy dłuższy niż czas zwykłej partii, oraz to, że będziemy grać bez przerwy, powinno nam to zająć... Jakieś 400 lat. Umrzemy ze starości, nim ją zakończymy! - Hiru był bliski płaczu.
- Nie sądzę - jego towarzysz uśmiechnął się smutno. - Chyba domyślam się o co tutaj chodzi... Znasz może baśń o drwalu i goblinach?
- Nie przypominam sobie...
- Musiałeś ją słyszeć. To klasyka naszej literatury. Młody rębacz idący przez las dostrzega dwa grające w GO leśne stwory. Zatrzymuje się, by przyjrzeć się partii, lecz gdy istoty kończą, drwal stwierdza, że jego siekiera jest zardzewiała a on sam ma siwe włosy.
- Dobrze, ale co to ma do nas...
- Już ci tłumaczę. Drwal nie wie, że złośliwe stworki mają władzę nad czasem, mogąc w swoim sąsiedztwie dowolnie go zwężać. Nie opacznie dostaje się do owej przestrzeni i zarówno on jak i trzymane przez niego narzędzie zaczynają starzeć się nienaturalnie szybko. Tu chyba sytuacja jest chyba odwrotna... Jesteśmy w miejscu, gdzie czas płynie o wiele wolniej niż na zewnątrz. Te czterysta lat, o których mówiłeś dla naszych ciał pozostanie tylko kilkunastoma minutami. Rozumiesz to?
- Nie... nie do końca.... Powiedz mi jednak, skąd weźmiemy piony?
- Oto i nasze kamienie - kolega wskazał na koniec planszy, gdzie wznosiły się dwa dość spore pagórki w przeciwstawnych kolorach.
- Nie będę chodził po planszy do gry, zawsze uczono nas, że nie może na niej stać nic poza pionami - nie ustępował Hiru.
- Jak widzę, nasz San sej pomyślał o wszystkim. Popatrz za siebie - powiedział towarzysz spoglądając na miejsce, gdzie niezbyt wysoko nad ziemią unosiły się dwa krzesełka.
- I naprawdę chcesz rozegrać tę partię? Chcesz siedzieć tutaj przez setki lat?
- Cóż ja podjąłem już decyzję. Mnie przyszło to łatwiej. Domyślałem się co stanie się gdy przekroczymy próg pokoju...
- Domyślałeś się!? I dobrowolnie tutaj wszedłeś?
- Co dla ciebie w życiu najważniejsze? - pytaniem na pytanie odpowiedział kolega.
- Chyba GO... - niepewnie rzekł Hiru.
- Właśnie! Dla mnie również. Więc to co się stało powinniśmy traktować jak dar. Powinniśmy być dumni, że zostaliśmy wybrani by GO wznieść na nowe...
- Nikt mnie nie spytał czy pragnę takiego daru! - ze złością przerwał Hiru.
- A czy gdy rodzice oddali cię do szkoły zapytali cię o zdanie? - w głosie towarzysza zabrzmiała ironia i Hiru musiał przyznać mu rację.
- Zresztą... - kolega ciągnął dalej - Złożyliśmy przysięgę, a poza tym... Poza tym nie mamy już wyjścia. - zakończył.
Jakiś czas siedzieli jeszcze w milczeniu obok siebie, czymże bowiem była owa chwila wobec czekającej ich wieczności. Potem wstali i wolno ruszyli w kierunku miejsca gdzie powinien zostać położony pierwszy kamień.

Sałata czy brylant?

Jacek Sobota

Pytanie sformułowane w tytule sugeruje pomieszanie zmysłów autora, co niejeden odnotuje nie bez satysfakcji. I rzeczywiście – nie może tu być wątpliwości: istny ze mnie idiota. Postaram się jednak, pozostając w zaklętym kręgu mej wewnętrznej logiki (która „na zewnątrz" traci wyraźnie na spójności), uzasadnić sensowność tak postawionej kwestii. Sałata czy brylant – dziwne pytanie, brylant oczywiście; za jeden można wszak kupić siedem plantacji sałaty. Ale wyobraźmy sobie taką, jakże zbliżoną do wysokich rejestrów prawdopodobieństwa sytuację: oto w domowych pieleszach (przyjmijmy, że akurat mieszkamy na bezludnych bezdrożach, gdzie jedyną żywą duszą nawiedzającą nas raz w miesiącu jest, powiedzmy, listonosz donoszący towary z olsztyńskiej księgarni wysyłkowej Verbum, specjalizującej się w fantastyczności – za tę reklamę spodziewam się udziału w zyskach) dochodzi do nienaturalnej katastrofy – obsuwa się na nas lawina książek polskich autorów SF, które to woluminy z irracjonalnych powodów kolekcjonowaliśmy całe życie, chyba po to jeno, by nas życia pozbawiły. Literacki nawał unieruchamia nas; imaginujmy to sobie – od lewej gniotą nas „Skarby Stolinów" pospołu z „Księżniczką", więc odwracamy wzrok jeno, bo cielsko skute literaturą; czujemy jak z przemożną mocą ciążenia przynajmniej siedem G powietrze z płuc wyciskają „Dzieła wszystkie" Dukaja; do gardła wciska się podstępnie Lem. Siódmego dnia takiej nieuchronnej nieruchomości marzymy o listku sałaty; nie o brylancie. Wszystko zatem zależy od kontekstu – rzeczy nabierają znaczenia bądź je tracą w zależności od sytuacji – banalne stwierdzenie.

Rzecz będzie tym razem o relatywizmie, owym przekleństwie nieszczęsnych (albo też szczęśliwych – rzecz jest dyskusji godna) posiadaczy Prawdy Absolutnej. W swym osobniczym rozwoju, który w znacznej mierze polegał na doznawaniu klęsk, usterek mechanicznych oraz rozczarowań, przechodziłem przez różne etapy (więc i ten teraz przejściowym być może) wewnętrznych mniemań na temat stanu otaczającej mnie rzeczywistości, z czym wiązały się wyznawane przeze mnie ideologie i filozoficzne poglądy. Obecnie jestem w fazie (ab)negacji ideologicznej; dostrzegam bowiem nieprzystawalność jakichkolwiek poglądów na temat świata do wieloaspektowości tegoż. Ideologie przypominają mi nędzarzy żebrzących pośród zaułków człeczych nieosiągalnych tęsknot za spełnieniem i ładem – przy czym zapomoga wypłacana bywa w walucie niewymienialnej. Co nie oznacza, że nie szanuję ludzi z zasadami – jak najbardziej szanuję; tym mocniej, że przypominają mi (zadłużam się u Camusa) Syzyfów – daremność przyzwoitości nie jest im przeszkodą. Przychodzi mi w tym miejscu na myśl porównanie, jakże trafne, Stefana Kisielewskiego – wszelkie ideologie miały być w jego opinii „hipotezami pomocniczymi", których użyteczność krótkotrwała jest, wszystko bowiem, co próbuje oddać stan świata, nie opisem jest, lecz interpretacją, zawsze zniekształconą epistemicznymi „okularami" interpretatora.

Oczywiście relatywizm sam w sobie głęboko jest paradoksalny, co dobrze opisuje „paradoks kłamcy" – *wszyscy Grecy są kłamcami*, powiada Grek. *Wszystkie poglądy na świat są relatywne*, stwierdza relatywista. Jednak u obiektywistów niepokoi mnie przekonanie – wynikające z definicji samej – o własnej nieomylności; i towarzysząca takiemu przekonaniu – siłą, czy też może raczej bezwładem, rzeczy – niechęć do dyskusji. Obiektywiści mają dusze inkwizytorów, rewolucjonistów. Ich chęć szerzenia dobra jest całkowicie szczera i tym bardziej niebezpieczna. Bowiem nim się dobro zacznie szerzyć, należy wyplenić zło, jasno wszak zdefiniowane. Abstrahuję od tego, czy zło jest zdiagnozowane słusznie, przyjmijmy, że tak jest w istocie. Problem polega na

tym, że rewolucyjne zapały łatwo nie gasną – kiedy się wypali zło, poszukuje się innego materiału na podpałkę – oto smutny paradoks rewolucji czynionych w „słusznej sprawie", które w ostatecznym rezultacie niweczą jakiekolwiek sprawy. Podwójnie *qui pro quo* mamy jednak wówczas, gdy uznaje się, że relatywizm jest obiektywnym i jedynym obrazem świata. Zjawisko objawia się ostatnio w strukturach Unii Europejskiej, skąd eliminuje się katolików, w imię szeroko pojmowanej tolerancji, jasna sprawa.

Intensyfikując paradoksalność całej sytuacji, trzeba zauważyć, że jeśli na przykład istnieje Bóg, to racja raczej jest po stronie obiektywistów. Co jednak wówczas, gdy obiektywnie istniejący Bóg – mam nadzieję, że mi wybaczy – okaże się z zamiłowania relatywistą? (stąd taki, a nie inny, jakże nieostry moralnie obraz świata). Czyż nie pachnie jakimś daleko posuniętym relatywizmem koncepcja Łaski św. Augustyna; gdzie Bóg jednych Łaską darzy (ci będą zbawieni); innych zasię pomija – ci pójdą w metafizyczną odstawkę?

Generalizując nieco, obie postawy – relatywisty i obiektywisty – niosą z sobą atuty i garby. Relatywiści zdają się lepiej znać naturę świata i ludzi – w związku z czym nie żywią wielkich złudzeń; lecz i nie wymagają zbyt wiele. Obiektywiści, którzy wiedzą już wszystko, nie opisują świata, lecz postulują jego kształt (Platon). Wymogi ich są wygórowane, lecz czasem mogą dźwigać rzeczywistość na wyższe poziomy.

Chyba literatura science fiction, szczególnie już w swych „obcologicznych" odmianach nadaje się od biedy do ciężkich zmagań intelektualnych z tematyką kulturowych relatywizmów. Wszak tytuł tego tu tekstu nie całkiem jest przypadkowy, a pożyczony od pana H. B. Fyfe'a, autora opowiadania science fiction „Sałata i brylant". Opowiadanie jest zresztą samo w sobie niezłą ilustracją cywilizacyjnych niejednoznaczności. W rzeczonej fabułce dochodzi do spotkania ziemskiego statku kosmicznego z obcą rakietą. Wymiana doświadczeń handlowy raczej ma wymiar – Obcy posiedli technologię produkcji brylantów z powietrza; Ziemianie zasię – hodowli roślin (sałaty) w kosmicznych warunkach. Po transakcji wymiany nowinek oba pojazdy umykają pełną mocą dysz – albowiem jedni i drudzy są przekonani, że się wzajem oszukali, a na wymianie niepomiernie, kosztem galaktycznych frajerów skorzystali. Za prekursora imć Fyfe'a trzeba uznać odrodzeniowego filozofa Tomasza Morusa, który opisując utopijną społeczność (w „Utopii" rzecz jasna) nie mógł się nadziwić irracjonalnym przywiązaniom Europejczyków do złota. Utopianie, by podkreślić swą niechęć do kruszcu, wytwarzają ze złota głównie nocniki. Zderzenie – fikcyjnych – kultur dostarcza autorom asumpt do przewartościowań i zdrowego śmiechu z osiągów cywilizacji, w której przyszło im, nieszczęśnikom, wzrastać, no i tworzyć.

Wydaje się, że literatura fantastyczna dojrzewała, z pewnym (zaryzykowałbym, iż ok. 50-letnim) opóźnieniem, wraz z ustaleniami antropologii kulturowej, którą ostatnio trochę się zajmuję. Antropologia w wydaniu XIX-wiecznym odznaczała się europocentryzmem, który ustawiał świat hierarchicznie, a zarazem usprawiedliwiał „konieczność" kolonializmu (fantastyka amerykańska tzw. „Złotego Wieku" charakteryzowała się czymś na kształt „ziemiocentryzmu" – Obcy bywali tu ustawiani jako podłe figury podległe ostrym, lecz zawsze jak najbardziej uzasadnionym restrykcjom). Relatywizm kulturowy pojawia się w antropologii w pierwszej połowie XX wieku – wraz ze szkołą Franza Boasa i jego uczniów – Theodorem Kroeberem (nawiasem mówiąc – ojcem Ursuli Le Guin) czy Ruth Benedict. Ta ostatnia opisuje w klasycznych już „Wzorach kultury" społeczność północnoamerykańskich Indian Zuni, których system wartości skrajnie różni się od europejskiego – charakteryzuje się dużą nieufnością wobec wszelkich przejawów indywidualizmu. Nawet w grach albo zawodach – jeśli ktoś stale bywa górą, zostaje wykluczony z rozgrywek, ponieważ owi Zuni rozsmakowani są raczej w takich aktywnościach, gdzie wszyscy mają równe szanse. Jakże to obce naszej mentalności zdobywców nagrody im. J. A. Zajdla i nieustannych uczestników licznych wyścigów gryzoni. Wyobraźmy sobie bieg na sto metrów w wykonaniu

Zuni: uczestnicy trzymając się za ręce, przekraczają linię mety w tym samym momencie, zaś wielomilionowa publiczność przed telewizorami oklaskuje ekstatycznie wrażenia estetyczne. Nawiasem mówiąc wszelkich indywidualistów pragnących się wzbogacić albo choć trochę porządzić, spotyka tam kara wywieszenia delikwenta za kciuki, co bywa bolesne. Czyli ponosi się i u Zunich konsekwencje, choć za inne niż u nas przewiny – system kultury oparty jest jednak na pewnych restrykcjach – może model indiański i europejski nie różnią się między sobą aż tak otchłannie? Książka Benedict ma być ilustracją tezy o różnorodności kulturowych wzorów, a także ich równoprawności, bez wartościowania. Takoż i fantastyka od jakiegoś czasu nie ocenia; jeśli już, to w roli czarnych charakterów nas, *homo sapiens*, raczej się obsadza („Mówca Umarłych" Carda).

Powinienem jeszcze napomknąć o patriotyzmie lokalnym, który często, niestety, polega na intensywnych akcjach poszukiwawczych źdźbła w cudzym oku, a zarazem poznawczym prześlepieniu na belkę tkwiącą we własnym organie. Szczególnie jest to widoczne w patriotyzmach blokowisk, ale i miłośników fantastyki zjawisko nie oszczędza. Gettocentryzmem pachnie mi postawa uczestników światka SF – owe ryzykowne tezy o wiekopomności literatury fantastycznej, gdzie wiosna panuje sensów i bujny rozkwit kwintesencji, co tym wyraźniej widać na tle ogólnej miałkości tworów głównego nurtu, grawitujących, każdy to widzi wyraźnie, ku nicościom. Jest to chyba jakaś skaza genetyczna rodzimych wizjonerów – nędzna ta bowiem aktywność ciągnie się już od dziesięcioleci. Ostatnio modne jest flekowanie Masłowskiej. Zaryzykuję, niczego nie ryzykując, opinię, że w polskiej fantastyce lat ostatnich żadnej jakościowo porównywalnej książki do „Wojny polsko-ruskiej" nie było; chyba, że o czymś nie wiem, ale wiem, że wiem. Masłowska ma wielki sensualny dar – językowy słuch absolutny. Można by rzec – słuch to mało, mało tego – słuch sam sobie pozostawiony to kalectwo. Lecz nie wychodząc z kręgu zmysłowych porównań, docenić TAKI słuch to kwestia smaku.

Baśnie betonowych metropolii

Michał Protasiuk

Kilkadziesiąt lat temu mieszkańców Nowego Jorku opanowała moda na trzymanie w domu krokodyli. Na początku wybierano osobniki małe, nie stawiające przed hodowcą wielkich wymagań. Tymczasem moda jak to moda, szybko przeminęła i pojawił się kłopot: co zrobić z gadami. Niektórzy wpadli na świetny pomysł i spuścili zwierzęta w toalecie. Niestety, nie przewidzieli, że krokodyle przeżyły egzekucję i zadomowiły się w nowym środowisku, opanowując system kanalizacyjny miasta. Wkrótce zaczęły się pierwsze ofiary z ludzi…

Powyższa historia jest oczywiście wyssana z palca, choć do dziś wierzy w nią wielu Amerykanów. To kliniczny przykład tzw. *urban legend*, czyli miejskiej legendy. Sformułowanie tego terminu zawdzięczamy amerykańskiemu folklorystce, Richardowi Dorsonowi, który zajmował się kolekcjonowaniem nieprawdopodobnych historyjek. I choć przytoczona wyżej opowieść o aligatorach pochodzi z lat '30, miejskie legendy nazwane zostały w dopiero 1968 roku.

Urban legends wymykają się ścisłej sferze definicyjnej. Profesor Dionizy Czubała, folklorysta z Uniwersytetu Śląskiego mówi, że powstają one z *„ciekawości, uprzedzeń i lęków. One były są i będą – jak folklor”*. W tym miejscu wypada zastanowić się nad sensem używanej nazwy. A więc: dlaczego „miejska” i dlaczego „legenda”?

Termin „miejska” jest nierozerwalnie związany z szybkością „rozmnażania” się nieprawdopodobnych historii. W miastach codziennie spotykają się ze sobą gigantyczne ilości ludzi, wymieniających informacje. Każdy z nas ma przecież olbrzymią liczbę znajomych: z rodziny, pracy, szkoły, podwórka. A ponieważ *urban legends* niosą zawsze atrakcyjną treść (co jest warunkiem ich przetrwania), z chęcią rozpowszechniamy je dalej. Współczesny świat stał się jedną wielką siecią połączeń międzyludzkich. Na poparcie tej tezy socjolodzy stworzyli tzw. „teorię pięciu uścisków dłoni”. Wybierzmy dwie dowolne osoby na planecie, a pomiędzy nimi istnieje jedynie pięciu znajomych. On zna kogoś, który zna kogoś, który zna… Powtórzę: dwie osoby, pięć uścisków. Australijski buszmen i mieszkaniec syberyjskiej wioski – pięć uścisków. Brzmi to nieprawdopodobnie i jest raczej niemożliwe do przetestowania, lecz trzeba przyznać, że tworzy doskonałe środowisko do rozmnażania się nieprawdopodobnych opowieści.

A dlaczego legenda? Immanentną cechą *urban legends* są poważne problemy z weryfikowaniem prawdziwości. „To stało się znajomemu mojego znajomego…” – tak brzmi motto większości tych historii. W takiej sytuacji nie pozostaje nam nic innego, jak przyjąć założenie o dobrych intencjach mówcy i uwierzyć w jego słowa.

Urban legends można rozpatrywać także w kategoriach teorii memów. Nauka o memach (memetyka) zakłada, iż ewolucja darwinowska znajduje swe odbicie w kulturze. I tak jak geny przenoszą informacje na temat cech organizmu, tak memy to niematerialne nośniki *„idei, zachowania, stylów lub zwyczajów”* (za: „Siła memów”, Świat Nauki, grudzień 2000). Jeśli założymy, że miejskie legendy konkurują ze sobą w pewnej niezdefiniowanej przestrzeni, a ich naczelnym zadaniem jest „zarażanie” następnych osób, wówczas otrzymamy bliską paralelę z memami. Oczywiście relacja działa w jedną stronę: niemal każdą miejską legendę rozpatrywać możemy w kategoriach memu, zaś nie każdy mem jest miejską legendą.

By przekonać się o potędze *urban legends* warto prześledzić kilka najbardziej znanych historii tego typu, posiadających korzenie w epoce sprzed powstania Internetu. Przypomnijmy sobie, czym straszono wszystkie dzieci w czasach PRLu? Najsłynniejszą polską miejską legendą, czyli czarną wołgą. Opowieść trwała w świadomości młodego pokolenia przez co najmniej dwa dziesięciolecia. Skąd się wzięła, trudno powiedzieć, choć jest dalekim echem XIX wiecznej historii o czarnej karocie, której pasażerowie porywali dzieci. Kto podróżował czarną wołgą? Tu wersje się różniły i w zależności od regionu byli to przedstawiciele SB, księża, Żydzi, a nawet wampiry. Różny też był cel porwań – ja spotkałem się z wersją, iż krew porwanych dzieci sprzedawana była bogatym Niemcom chorym na białaczkę. Według niektórych nie wszystkie czarne wołgi były groźnie i obawiać się należało jedynie samochodu z firankami albo białym paskiem na drzwiach. Historia ab-

Czarna Wołga

surdalna w głupocie, a jednak siła jej rażenia jest imponująca. I co ciekawe, czarna wołga nie wyparta została całkowicie ze społecznej świadomości. Pod koniec lat '90 zachodnią Polskę obiegła elektryzująca wiadomość: w okolicach Ostrowa Wielkopolskiego pojawiło się czarne BMW, a za jego kierownicą… szatan, który typował ofiary, pytając o godzinę. Jak widzimy schemat znów jest ten sam: zupełnie nieprawdopodobna opowieść, o potężnym zasięgu.

Inną popularną polską *urban legend* jest tajemnicza sprawa związana ze zbieraniem kodów kreskowych, zaczynających się od określonej cyfry. Za nieznaną ich liczbę wysłaną pod niewiadomy adres, nieznajoma osoba mogła otrzymać od anonimowego darczyńcy (Niemca –to jedyny pewnik) wózek inwalidzki. Jak pamiętamy, pomimo dużej liczby znaków zapytania, wiele osób szczerze wierzyło w prawdziwość tej opowieści i oddawało się kolekcjonowaniu kodów.

Osobną kategorię miejskich legend wykreowały wydarzenia 11 września. Pomijając fakt, że same stały się źródłem wielu klasycznych *urban legends* (poczynając od twarzy szatana, jaka wyłaniała się z płomieni WTC, poprzez Biblię odnalezioną w ruinach Pentagonu, po spiskowe teorie, jakoby nie było zamachów, a całość została wyreżyserowana przez Busha), pokazały jednocześnie nowy powód, dla jakich warto tworzyć legendy. Jest nim obawa, iż w natłoku informacji, jakimi jesteśmy bombardowani każdego dnia, umkną nam wieści najważniejsze. Podobno terrorystyczne zamachy były czytelnie komunikowane, tylko CIA nie potrafiło się w porę przekopać się przez gigantyczną ilość zgromadzonych danych. Na podobnych strachu bazowała historia, jaka w ubiegłorocznym okresie przedświątecznym obiegła Warszawę. Podobno (znajomy mojego znajomego) w Galerii Mokotów widziano Arabów, robiących zdjęcia. Rzecz mało prawdopodobna, ale czy warto ryzykować i iść tam na zakupy? I choć sprawę wielokrotnie dementowano, wiele osób wierzy w nią do dziś.

Nieodłączną częścią każdej legendy jest ziarno prawdy. Tak jest w przypadku jednej z najsłynniejszych „ogólnoświatowych" legend o umierającym na raka chłopcu imieniem Craig. Jego marzeniem było znaleźć się w księdze rekordów Guinnessa jako osoba, która otrzymała najwięcej kartek pocztowych. Sprawę rozpropagowała fundacja zbierająca pieniądze na operację Craiga i kartki szerokim strumieniem popłynęły do szpitala. Tymczasem chłopak został zoperowany i wrócił do zdrowia, zaś legenda nie umarła i do dziś ma się dobrze, o czym świadczą kartki wciąż napływające do szpitala.

Na kształt miejskich legend bardzo silny wpływ miał rozwój Internetu. Z jednej strony te „wirusy informacyjne" rozchodzą się dziś znacznie szybciej i ich zasięg jest większy przy jednoczesnym skróceniu długości żywota. Większość internetowych wiadomości tego typu możemy określić mianem: „hoax", co oznacza fałszywkę, celowe podpuszczenie czy wprowadzenie w błąd. Najpopularniejsze hoax to zmyślone ostrzeżenia przed nowymi wirusami, czy też listy-łańcuszki, które zapewniają, iż po wysłaniu wiadomości do dziesięciu znajomych, na nasze konto wpłynie określona suma pieniędzy. Często przybierają formę poszukiwania natychmiastowych krwiodawców, czy też próśb o wsparcie finansowe. Czasami to również śmieszne filmiki i prezentacje uczące życia według rad wschodnich mędrców. Po czym rozpoznać hoax? Są trzy cechy charakterystyczne:

Dzieci w Woldze

– hoax obłożona jest zwykle groźbą: jeśli tego nie zrobisz złapiesz wirusa / spotka cię nieszczęście / umrze dziecko

– hoxa, jak każdy mem, dąży do jak najszybszego rozmnażania, więc do wiadomości zwykle dołożona jest zachęta: „wyślij to do wszystkich znajomych"

– hoax wykorzystuje psychologiczny efekt aureoli i powołuje się na autorytet: „Microsoft właśnie ogłosił…" albo straszy negatywnym przykładem: „X nie zastosował się do naszych rad i spotkało go nieszczęście".

Warto pamiętać, że rozpowszechnianie tego typu informacji nie zawsze jest bezinteresowne i nie zawsze służy wyłącznie przeżyciu memów, czasem przybierając wymiar realnych korzyści. Niektórzy korzystają z lenistwa internautów, którzy w takiej sytuacji machinalnie wybierają opcję „Prześlij dalej", nie troszcząc się o usunięcie wcześniejszych części wiadomości. Wkrótce potem do elektronicznego listu dodana jest duża liczba adresów – hoax z reguły wysyłany jest do wielu osób. Jeśli więc ktoś potrzebuje bazy „czynnych" adresów, by wykorzystywać je do przesyłania reklam, nie musi zwracać się do wyspecjalizowanej firmy. Wystarczy wpuścić do internetu odpowiednio spreparowaną informację, a biorąc pod uwagę gęstość sieci ogólnoludzkich znajomości, może liczyć, że wkrótce list wróci do nadawcy wraz z pokaźną listów pośrednich adresatów.

Komunikacyjne wirusy to przyszłość marketingu. Z uwagi na tzw. *clutter*, czyli szum konkurencyjny wywołany dużą liczbą komunikatów handlowych, jakie docierają do nas każdego dnia, tradycyjne formy reklamy stają się mniej efektywne. Powoli coraz bardziej popularny staje się *buzz marketing*, czyli marketing szeptany. Na razie jego zastosowanie jest raczej szczątkowe, lecz można łatwo wyobrazić sobie świat przyszłości, gdzie *urban legends* zaprzęgnięte zostaną do kreowania marek.

Powstałe spontaniczne czy sterowane odgórnie, żyjące kilka dni czy dziesiątki lat, o zasięgu lokalnym czy ogólnoświatowym – miejskie legendy będą trwać tak długo, jak długo ludzie będą się ze sobą komunikować.

Kim są Golcy?

recenzow@nie Miast pod skałą

<Wojtek> To może ja zacznę dyskusję o nowej powieści Huberatha. Nieśmiało i krótko - bo jeszcze mi trochę stron zostało, acz znam z grubsza zakończenie - lecz chyba najwyższa już pora zainicjować otwartą wymianę myśli na temat tej książki.

Mam uczucia baaardzo mieszane, z przewagą odczuć ujemnych. Pomysł sam w sobie dobry, bez dwóch zdań, ale to wykonanie...

Bardzo nieporadne. Negliżujące braki pisarskie Huberatha, jak żaden tekst wcześniej.

80 % przeczytanego dotąd przeze mnie tekstu to proza na poziomie Howarda - taki Conan barbarzyńca, tylko wtłoczony w bardziej ambitne ramy i założenia. U Howarda też było strasznie, ponuro, okrutnie i fizjologicznie - cały wątek wśród legionistów w górach (liczący chyba ze 300-400 stron, choć spokojnie zmieściłby się na stu pięćdziesięciu) jest męką czytelniczą, ponieważ nie posiada prawie żadnej dramaturgii. Dominuje nudna, linearna narracja, akcja posuwa się opornie, co nie byłoby zarzutem, gdyby nie dodatkowy brak intelektualnych walorów tych stron. No, po prostu Conan!

Jak do tej pory w książce znalazłem jedną naprawdę dobrą scenę - wizję piekła za Ścianą Ognia. I poprzedzający ją marsz żołnierzy w skórach Czarnych. Nawet wątek zrastania się ze skórą - był niezły. Myślałem, że coś wtedy ruszy, że książka wreszcie nabierze rumieńców, że zaraz mózg mi stanie, bo to przecież Huberath - a jednak nie. Proza uniosła się trochę ponad ziemię, dostała skrzydeł na kilkudziesięciu stronach - po czym spadła z powrotem, wróciła w koleiny przeciętności. Poza tym bohater (Adams) - też jest nijaki.

Wiem, że to wyświechtany argument, ale prawda nie chce być inna - to powinna być powieść długości „Gniazda światów". Co Huberath chciał osiągnąć, pisząc taką cegłę - może liczył na „efekt objętości", rozmach wizji? Tymczasem przytłoczył czytelników nudą.

To tyle na razie, żeby zagrzać Was do dyskusji.

Następny mail będzie o zaletach książki - których jest na szczęście trochę. Szkoda jednak, że tylko trochę.

<Marcin> Niestety raczej zgadzam się z Wojtkiem. Dłuży się, cholernie się dłuży. Zakończenie jest mocne, rekompensuje mi trochę dłużyzny, ale gdzie mu do zakończenia „Kary większej" czy „Gniazda Światów". Z większością zarzutów wypada mi się zgodzić, książka jest strasznie rozwlekła, epizod górski jest 3 razy za długi, pomijając wędrówkę do Wrót Piekła. Poza tym niespecjalnie powalają mnie wizje obu Miast - szacunek za pomysły, ale tak to jest że jedne się czytelnikom podobają, inne nie. Mi te raczej nie. Co jeszcze? Karol zauważył że Huberath ma obsesję na temat kobiecych piersi, przymrużając oko też mi się wypada zgodzić. W ogóle sprawy płciowe... kurna, nie jestem święty ale jakoś te gadania o cipach i kutasach są mi po prostu niesmaczne. Ja rozumiem, chciał Marek oddać język i tematy rozmów prostych żołnierzy, mimo wszystko krzywiłem się. No i jak zwykle – jakieś epatowanie przemocą, okrucieństwem, brzydotą...

Adams - no wkurzał mnie jak mało kto. Albo wiem jak kto: jak bohaterowie „Cube" którzy odkrywszy że mają między sobą jednego z autora konstrukcji, nijak tego nie wykorzystują (zamiast brać go za fraki i krzyczeć: Co to jest kurwa???!!!).

Adams jest taki sam - nie próbuje dociec zasad, konstrukcji i przeznaczenia świata w którym się znalazł albo – doskonale owe zasady, konstrukcję i przeznaczenie pojął tylko nie daje tego odczuć ani zrozumieć czytelnikowi,wówczas jednakże całe spektrum jego działań jest nieco pozbawione głowy.

Żeby nie było że tylko krytykuję - to jest dobra książka, przewyższa większość polskich produkcji autorów których nazwiska litościwie przemilczę. Problem w tym że MSH napisał wcześniej dwa utwory których tytuły wyżej podałem i które są dla mnie najważniejszymi polskimi utworami ostatnich 20 lat. A teraz - dostaliśmy rzecz zbyt długą i niestety dużo gorszą stylistycznie. Zachodzę w głowę jak Marek wypuścił ją w takiej formie gdy teoretycznie miał 6 lat czasu od wydania „Gniazda Światów".

Tyle o wadach. O zaletach może jutro.

<Marcin> Zalety są. Początek - pierwsze kilkanaście stron błądzenia wśród mecanicznych rzeźb na granicy jawy i snu. Dziewczyna latająca nad miastem. Kilka opisów gór (no nie od dziś wiadomo że Huberath to góral porządny z zamiłowania). Wędrówka do bramy i - jak już Wojtek zauważył - motyw zrastania się ze skórą. Opis piekła za bramą - mimo że okropny i przyprawił mnie o niespecjalne samopoczucie - to niemal mistrzowski. Rozmowy Adamsa z Człekoustem w drugiej połowie trzeciej części. Sama koncepcja Strażnika Mostu - dla

mnie chrześcijanina po prostu wspaniała. Wątek poszukiwań dowodów istnienia tego całego uczonego (w pracy jestem, nie mam jak sprawdzić nazwiska) też mi się podobał. Koncepcja świata/światów - no trochę mniej. Powiedzcie mi - piekło jest podwójne? Każdy demon ma własne a Adams widział tylko dwa? Bardziej po dantowsku (dantejsku?) powinno być tak że Górne Miasto to Czyściec. (Ale chroń mnie Panie przed takim) Jak się mają do siebie władcy Górnego i Dolnego Miasta? Bardziej jakoś odbierałem to tak że są to dwa demony a żaden nie jest że tak powiem Szatanem w czystej postaci. Kim są Golcy? Bo w sumie też gubią mi się koncepcje (kto jest tutaj od koncepcji?).
No i końcówka - wyjście na ruiny Rzymu. Jedyna scena która naprawdę poruszyła mnie i porwała do głębi, ta resztka cywilizacji, to uwolnienie demona, i ten znak... „Jest nadzieja". Niesamowite.
Kurczę, mam wrażenie że o czymś zapomniałem. Więc proszę Was Przyjaciele o Wasze odczucia, ufam że to mi to i owo przypomni.

<Wojtek> Ano zalety są, panie Marcinie, na szczęście. Choć toną w wadach, niestety. Wczoraj czytałem dalej i kiedy już ponownie przypływa Pan z Morza, a Adams z Renatą uciekają z Krum, książka robi się lepsza. Wczorajszego maila pisałem na granicy wytrzymałości, pod koniec nudziarskich wątków w górach, stąd ma niechęć do wskazywania zalet książki. Teraz już trochę ochłonąłem. A więc ad rem. Ponowny pobyt w Górnym Mieście jest napisany dobrze, czyta się to lepiej (wreszcie interesujące dialogi). Mam jeszcze przed sobą jakieś 90 stron (acz samą końcówkę już podejrzałem) i na razie dostrzegam tylko z grubsza koncepcję Huberatha. Dwa miasta we władaniu dwóch biblijnych demonów - Człekousta czyli Behemota oraz Pana z Morza czyli Lewiatana. To rozumiem. Lewiatan, to zgodnie z Biblią mityczny potwór morski o siedmiu głowach, uosobienie sił przynoszących ludziom nieszczęście. Z kolei Behemot to największy potwór ziemi, może go pokonać tylko Jahwe (pojawia się ów Behemot bodajże w księdze Hioba). No i jeszcze Lilith - demoniczna pierwsza kobieta, w książce jest sugestia, że jest nią Liliane. To chyba ona zwiodła Adamsa, aby poszedł do dalej labiryntem na początku książki. Więc tutaj mamy jasność: co jednak z - że tak powiem - klasycznym piekłem, które chyba istnieje w Dolnym Mieście, za linią ognia? Nie wiem, jak doczytam, może coś wywnioskuję.
A propos: co dokładnie znaczy włoski napis, który w ostatniej scenie czyta Adams?

<Marcin> Wydaje mi się że to po prostu opis przystanku autobusowego. Wysłałem zapytanie do italskojęzycznej koleżanki.

<Piotr> To i ja dorzucę swoje kilka groszy, a więc tak: Huberata czytało mi się dość dobrze i szybko, być może dlatego nie zwróciłem uwagi na jakieś znaczniejsze stylistyczne ułomności. Być może moje „oko" jest mniej wyczulone niż moich szanownych przedmówców;). Zgadzam się, że książka mogłaby być o połowę krótsza bez straty dla głównego wątku. Mam wrażenie, że środkowe opowieści o miastach Behmet i Krum mogą stanowić osobne mikropowieści (powiązane oczywiście głównym wątkiem).
No i właśnie.. główny wątek czyli wedrówka Adamsa do piekła i z powrotem. Po co? Wg. Człekousta wypełniał Adams tym samym diabelski plan. Trochę mi się to kojarzy z taką „wypaczoną" historią Chrystusa (został wysłany na ziemię, czyli do „niższego" świata w celu, ogólnie rzecz biorąc odkupienia istot tam żyjących). No i Adams został, nie tyle wysłany, ile przyzwany do świata „niższego", żeby umożliwić przejście do „świata wyższego" demonom. Niezły plan.
Co do samej historii w Krumie to, jak słusznie zauważyła Beata, przypomina to nieco „Północną granicę" Kresa. Ani mi się to dłuży, ani nudzi: Kres w „Północnej granicy" był w niezłej formie.
Przyznam się, że nie bardzo rozumiem wątek z kobietami (raz jest jedna raz druga raz trzecia, o co chodzi?
Koncepcja z czyśćcem nie wydaje się taka głupia, bo przecież Krum i Behmet nie są takie najgorsze w porównaniu do świata za ścianą płomieni.

<Michał> Czas na moje zdanie w dyskusji na temat „Miast pod skałą".
Książka w miarę czytania podobała mi się coraz bardziej. Początkowe sceny w mieście Człekousta zupełnie nie przypadły mi do gustu, przede wszystkim za brak czegoś na kształt „uzasadnienia postępowania głównego bohatera". Adams trafia do diametralnie różnego świata i nie ma zupełnych problemów z akceptacją nowej rzeczywistości. To dalece nieprzekonujące, wspomnijcie choćby głównego bohatera Solarisa i jego eksperymenty mające na celu wykazania, czy aby przypadkiem nie śni lub nie zwariował. Adams na wszystko godzi się bez oporów, przez co do końca pozostaje mało wiarygodny.
Część dalsza, czyli Krum i żołnierskie przygody jest lepsza, lecz zdecydowanie za długa, zupełnie bez szkody

dla akcji można ją skrócić o połowę. Wcześniej książkę czytałem nieco bez przekonania, wtedy był moment, że coś „zaskoczyło" - chyba w chwili, gdy domyśliłem się kim są Golcy.
Powrót do Człekousta to już mistrzowska klasa. Wizja biurokratycznego piekła, gnijący na korytarzu pies, którego nikt nie sprząta od wielu tygodni, itd. Ponowne próby rozwikłania ontologicznej zagadki, dociekanie sensu wydarzeń to Huberath na poziomie Kary większej czy Gniazda Światów. Zakończenie wyśmienite.
Generalnie w szkolnej skali postawiłbym książce mocne 4. Bardziej mógł się Huberath przyłożyć do języka, surowy jest do przesady. Ale przede wszystkim rzecz powinna mieć lepiej przemyślaną strukturę, czego nie można zrzucić na pośpiech przy pisaniu.

<Beata> wprawdzie nie skończyłam jeszcze czytać, ale mam kilka uwag odnośnie sporu czym są miasta pod skałą - czyśćcem czy piekłem?
Biorąc pod uwagę kto nimi rządzi, jest to piekło bez dwóch zdań - jednak nieporównanie mniej piekielne niż miasto płomieni - jak to wytłumaczyć?
Według mnie Huberath eksploatuje ponownie motyw kary większej i mniejszej. Krum i Górne miasto są owym piekłem lżejszym, mniej dosłownym, ale złudzenie normalności jakie dają swoim mieszkańcom jest niezbędne, aby tym bardziej ich pognębić karą większą.
Dodatkowo za tą opcją przemawia wspomniana możliwość powrotu martwego setnika Drubala (o ile dobrze pamiętam imię), jeżeli uda mu się powstać jako szkielet, dojść do płonącego miasta i jeśli pozwoli mu na to pan z morza. Ma więc Gruby możliwość stopniowania kary potępionym karmiąc ich złudzeniami lepszego życia, aby dotkliwiej w przyszłości odczuli płomienie i, co najbardziej mnie powala - nieświadomi, że całe życie spędzili w przedsionku piekła.
Skąd jednak w czeluściach piekła gabriele, skoro (patrząc cały czas przez pryzmat chrześcijańskich pojęć piekła i nieba) potępionym nie mogą pomóc? Szpiedzy „drugiej strony"? A może jednak to nie piekło według naszych pojęć jeśli nawet w płonącym mieście udaje się gabrielowi ocalić jedną duszę... Brakuje biblijnej ostateczności piekła.
O całej reszcie na razie nie wspominam, po zakończonej lekturze i wstępnym trawieniu być może napisze więcej.

<Wojtek> Ja skończyłem ostatecznie rzecz wczoraj, po powrocie z klubu.
Tak, Beata ma rację, że pod koniec zaczynają pobrzmiewać nuty „Kary Większej". Michał ma rację, że ostatnie sto stron, wizja biurokratycznego piekła, jest naprawdę udana. Jednak w tych partiach Huberath kopiuje trochę samego siebie.
Cholera, ta książka powinna liczyć sobie 300 stron i być bardziej dopracowana stylistycznie - wtedy, podejrzewam, chwalilibyśmy ją bez zastrzeżeń. Zresztą, koncepcje religijno-ontologiczne chyba powinny być też bardziej czytelnie przedstawione. Podejrzewam, że są wywiedzione z jakichś apokryfów, których nikt z nas nie zna, a które pewnie sporo tłumaczą. Pora zaczekać na pierwsze wyjaśnienia samego autora, tudzież na pierwsze egzegezy speców od religioznawstwa...
PS. A propos - kim są Golcy? Wg mnie to potępione dusze idące do piekła.

<Marcin> Golcy - to też pierwsze skojarzenie jakie miałem. Ale potem mi się rozmyło. Co z tymi ubranymi dziewczynami, hę?

<Beata> Jak dla mnie ubrana dziewczyna w pochodzie golców to też gabriela. kiedy Człekoust i Adams spotykają studentkę, takie mi się skojarzenie nasunęło że to ta sama postać. Bardziej to intuicyjne, niż logicznie wytłumaczalne, ale przyznajcie, że coś w tym jest.

<Wojtek> Co do koncepcji ontologicznej świata w „Miastach pod skałą" - jest tam zasygnalizowana pewna koncepcja. Teoria generacji (nie mylić z Parowskim), zatem jest to bardziej koncepcja istot stworzonych.
Pierwsza generacja: byty niematerialne (anioły i demony), które nie mają możliwości kreacyjnych (ponieważ same zostały stworzone - są jakby dziełami sztuki Boga, a nie jego dziećmi stworzonymi na Jego obraz i podobieństwo). Jest też druga generacja: duchowo-zmysłowa, czyli ludzie - co jest oczywiście zgodne z kolejnością stwarzania życia opisaną w Biblii...
Otwarta pozostaje kwestia - co z trzecią generacją? Może są w książce jakieś sygnały na ten temat, których nie wychwyciłem? A poza tym - na czym polegało to, że Renata została Ponownie Narodzona? Szczerze mówiąc umknęło mi to. Na tym, że przeszła z Miasta Dolnego do Górnego?
I jeszcze jedno - chyba wiem, jak wyjasnić te wszystkie zmieniające się kobiety Adamsa. Chodzi pewnie o nawiązanie do „Boskiej komedii" i postaci Beatrycze, której Dante szukał w zaświatach (ujrzał ją w Niebie, a wcześniej chyba też w Czyśćcu - nie pamiętam). Tutaj

były różne kobiety, czy wręcz samice (jak owe gabery) - więc moim zdaniem były to „wypaczone" odpowiedniki Beatrycze - zwłaszcza Złota Gabera. Z drugiej strony Reanta była nawiązaniem do Ewy. Więc to nieco podważa ten trop. Natomiast Liliane była demonem Lilith, to jest oczywiste.

Tylko czy miało to wszystko jakiś dodatkowy sens poza samym nawiązaniem do „Boskiej komedii"?...

<Maciek> ja o „Miastach..." powiem tyle, że na razie przebijam sie przez poczatek z równym trudem co Adams przez Muzeum. Niby ciekawe, ale bardzo niestaranne językowo, momentami wręcz niechlujne i to zniechęca (czy w WL nie mają dobrych redaktorów!?) raz już się do Miasta zabierałem i porzuciłem je na rzecz książki Suzane Clark (Jonathan Strange & Mr Norrel - co za powieść!!!!) teraz robię drugie podejście, ale właśnie kupiłem pierwszy tom Stephensona i kto wie czy nie wygra on z Huberathem. Nie rozumiem - MSH miał 6 lat i nie mógł dopracować książki redakcyjnie, językowo?

<Krzysiek> 6:3 - A gdy otworzył wtórą pieczęć, słyszałem wtóre zwierzę mówiące: Chodź, a patrzaj!
6:4 - I wyszedł drugi koń rydzy; a temu, który na nim siedział, dano, aby odjął pokój z ziemi, a iżby jedni drugich zabijali, i dano mu miecz wielki.

Myślę teraz, że dla domniemanych wad tej książki co poniektórzy koledzy są zbyt surowi. Można, ale:
1. Długość książki. Ta książka to nie Gniazdo światów, gdzie kolejne historie nic nie wnoszą, poza tym, że są kolejnymi światami. I siłą rzeczy każdy kojelny świat wydłuża zbędnie o 100% swojej objętości.
Tu tak nie ma. Opisy Krum i Górnego miasta, nie są bezsensowne, okazuje się że są potrzebne i wystarczy cierpliwie czytać. Faktem jest, że najtrudniejszy moment to pierwszy pobyt w górnym mieście. Bo to już się czytało i u Huberatha i w innych miejscach takie totalitaryzmy i biurokratyzmy. I te dziwaczne zwyczaje z piersiami i z trupami. Nie wiadomo po co do czasu. Ale Krum to jest co innego. Choć najdłuższe - wcale nie jest za długie czyta się świetnie.
Piszecie, tak jakbyście nie zauważyli, jakiej długości powieści teraz są pisane. „Modlitwa za Owena", „Świat wg Garpa", „To", „Cryptonomicon", „Bastion", „Inne pieśni" (krytykowane przez kolegów powszechnie za zdawkowość). Takie teraz są kobyły i nikt nie szemra. Ja z tego przeczytałem np. „Modlitwę za Owena" - tam to się dopiero przez 400 stron nie dzieje nic aż do zawrotnego finału.
Skracanie nie miałoby sensu.
W końcu Hubert von H. pisze jak Hubert van Eyck. Nie rozmazuje. Opisuje drobne szczegóły. O Tak!
2. Błędy stylistyczne. Nie wiem, nie znam się, znam paru grafomanów, którzy byli nominowani do Zajdla a nawet byli nim nagradzani. Wiem też, że mistrz stylistyki Dukaj to dopiero lekko pisze.
Ale przyjmując za fakt że Huberath nie jest mistrzem stylistyki – to jest to hańba dla wymienionych z nazwiska trzech redaktorów i czterech osób z korekty. Co oni tam do cholery robią ?!
3. Wiarygodność Adamsa, koledzy popełniają moim zdaniem błąd, który kiedyś zauważałem u siebie w trakcie oglądania filmów. Wydawało mi się, że bohaterowie, jak w coś dziwnego wejdą to muszą się tylko dziwić i dziwić i dziwić i nie przestawać się dziwić.
Nic bardziej błędnego. Zachowanie bohaterów w filmach oraz Adamsa w książce wynika z następujących przyczyn: - autorzy w przeciwieństwie do nas przemyśleli tą sytuację, a jakiej znajdują się ich bohaterowie i doszli do bardzo słusznego wniosku, że takie dziwienie było by żałośnie nudne i nikt przy zdrowych zmysłach by się tak wiecznie nie dziwił,
- bowiem takie dziwienie się było by nienaturalne i tylko takiemu scjentyście pokroju Lema mogło by przyjść do głowy zachowanie Calvina. No bo postawcie się w ich sytuacji! Albo nie, postawcie się w bliższej sytuacji

polegającej na tym, że pracujecie w całkowicie nowej dla was firmie. I co? czy pytacie się wszystkich dookoła „a o co tu chodzi?". Otóż nie, staracie się pojąć reguły gry intuicyjnie i od samego początku udajecie, że rozumiecie coś, choć nic nie rozumiecie. Wie o tym każdy, kto żyje. Bo trudno mi uwierzyć, ze wszyscy ludzie dokoła rozumieją „O co tu kurde chodzi?" A jednak, nie zauważyłem, żeby osoby w moim otoczeniu nieustannie się dziwiły.

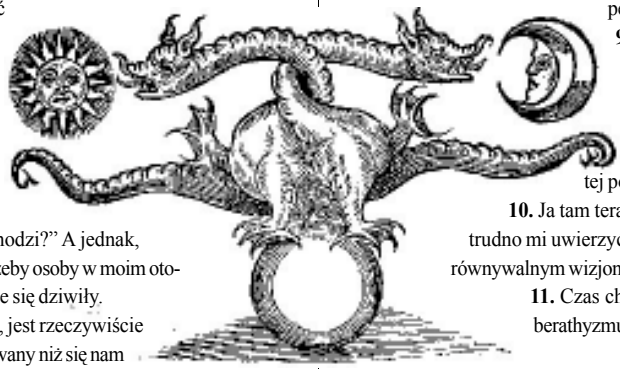

- w końcu Adams, jest rzeczywiście o wiele bardziej cwany niż się nam wydaje. I to jest też pewna gra, on pewne myśli i wnioski musi chować głęboko w swoich myślach, bo do jego myśli ktoś może mieć dostęp. Stąd i my nie wiemy wszystkiego, co on wie. - a i tak, wiedza Adamsa jest niczym przy wiedzy Renaty, jej zwięzłe wypowiedzi, nieliczne ale wspaniałe mnie po prostu powalają.

4. Tak więc w ogólności myślę, że jest to powieść dużo bardziej sensowna niż Gniazdo Światów. Jest w nim niezwykłe stłoczenie niesamowitości. Myślę, że próby logicznego ich rozbioru mogą trochę spalić na panewce. To jest jakby pisana od nowa mitologia, w 50% mająca jakieś pokrycie w tekstach wcześniejszych. Chyba bym się nie doszukał sztywnych analogii i surowej logiki świata. Ale czuję, że mi to nie przeszkadza.

5. Jak to podsumować, to są to zawrotne wizje Gerbert z Aurillac, czyli Papież Sylwester który kolekcjonuje lub konstruuje mechanitony, pieczętuje demony, które pilnują piekła. Które piekło jest jakie? Zauważcie, że Ogniste wrota znajdowały się nieskończenie dalej od piekła psychologicznego zielonych butelek.

6. Ibn Khaldouni - arabski filozof i socjolog z 15 wieku nie mógł być raczej konstruktorem niczego.

7. rzeczywiście zagadkowa postać Renaty, i ten niepojęty tytuł „Ponownie Urodzona". W jaki sposób łączyć ją z Natalią? Jedna zeszła niżej, druga weszła wyżej...

8. Tytuł „Po stronie trupa" dużo łatwiej zinterpretować, jeżeli spojrzy się na obraz „Sąd ostateczny" Huberta albo Jana van Eycka. Obraz przedzielony jest na pół postacią trupa. I właśnie po stronie trupa mamy mniej więcej to, co zostało opisane w rozdziałach 109 i 110. Choć bardziej to nieco przypomina Bosha, ale w opisach poszczególnych tortur nie widzę analogii.

Co więcej obraz huberta pokazuje też postacie golców na płaskowyżu wstające z grobów oraz tonące w morzu, mamy tam też i góry. Cały ten obraz stanowi pewne uzupełnienie.

9. Oczywiście ilustracje do książki, sami wiecie, to nie do końca to. Słabizna niegodna tej powieści.

10. Ja tam teraz mało czytam. ale trudno mi uwierzyć, żeby ktoś był porównywalnym wizjonerem.

11. Czas chyba wracać do huberathyzmu.

<Maciek> właśnie skończyłem
generalnie uczucia mam mieszane
ciekawe pomysły, ale tak kiepsko napisanej książki dawno nie czytałem. Żenada.
Żeby nie być gołosłownym, kilka przykładów :
„kudeł" - zamiast kudły, włosy sierść
„zmilczał" - zamiast przemilczał (Jezu, ile razy tos się w tekście powtarza)
busierec, Ciaken, Pachom, Bielen,Reutel
(szkoda że nie Reuters), Krum, - co za urocze ;-) imiona, nazwy
Krum to męka czytelnicza. Wytłumacz mi Krzyśku po cholerę było to szwędanie się po górach (takie długie?)
80 % scen w Krum to były m zd. sceny niepotrzebne.
Gniazdo Światów było m. zd. lepsze i lepiej napisane (cholera, nie myślałem że to powiem)

<Krzysiek>Zgadzam się, że użyte słowa tak są dziwaczne, jak multum scen, które opisują (genitalia, twarze paradoksalne itd.).
Cóż, ja nazwy własne odbieram wzrokowo. Rzadko je czytam i przyznam, ze przywykłem do przeróżnych dziwactw. I chyba lepszy Ciaken bo więcej w nim oryginalności, niż np jakowy Adax z układu Adhary.
Krum, starałem się to uzasadnić drobiazgowym stylem. Myślę, że gdyby Adams po prostu wszedł do tego Krum i wyszedł po 50 stronach, to właśnie byłby taki zamazany obraz. Przyznam, ze obruszyło mnie, jak z Adamsa zrobili niewolnika, ale zaraz potem spodobał mi się ten pomysł, bo w takim tradycyjnym dziele typu Odyseja albo Boska Komedia (tej drugiej nie czytałem) to bohater sobie wchodzi do zaświatów. Chodzi, przechadza się,

spotyka ludzi, ogląda, i sobie wychodzi. Piętro wyżej na przykład. A tutaj nie. Adams musiał wżyć się i poznać na swojej skórze twardość życia w miejscu, które się oswobodziło spod kurateli złego. Jedynym sensownym wyjściem, niż opisywanie w zasadzie dzień po dniu tej rzeczywistości, było by przeskoczenie tych lat i z pozycji retrospektywnej opisywanie w stylu opisu Ks. Robaka, jaki to ten Adams był zajebisty, i jak to on sobie dał radę w ciężkim kraju Krum, na krawędzi światów. To było by raczej pójście na łatwiznę.

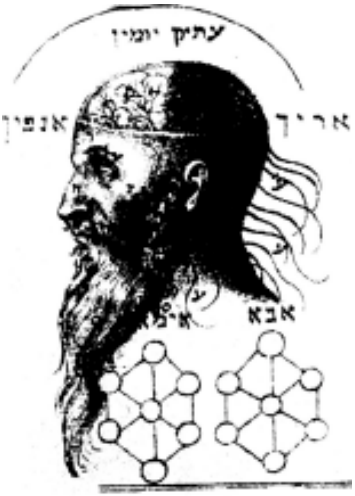

Przez ten czas mamy okazję obserwować ten świat - jest on raczej dość niecodzienny, i te niecodzienności trzeba jakoś opisać w akcji, a nie na zasadzie „Na dole jest miasto, wyżej jest linia trupa i chodzą golcy i busierce, i są zawirowania z czasem i są ogniste wrota i przypływa lewiatan". Można by się uwinąć na dwóch stronach, ale to byłby tylko dziwaczny opis niczym u Mikołaja doświadczyńskiego (nie czytałem).

<Maciek> Adaxa, wybacz, nie kojarzę. Kojarzę za to wiele znakomitych imion i nazw u Tolkiena, Sapkowskiego, nawet u Dukaja (Zamojski na ten przykład). Nazwy i imiona to pierwszy ale wcale nie najważniejszy brak literacki Huberatha w ogóle a MPS w szczególności. Dwa zarzuty są poważniejsze

1. konstrukcja psychologiczna bohatera - za nic w świecie nie mogę zrozumieć Adamsa. Jego postawa jest tak bierna i pozbawiona wszelkiej logiki, że nieprawdopodobna. Zero zdziwienia, zero zastanowienia nad światem przedstawionym. Ja żyję na tym pięknym świecie bez mała 28 lat i wciąż się dziwię i wciąż się zastanawiam nad konstrukcją świata. Adams trafia do zupełnie nowej rzeczywistości, odkształconej dziwacznie - i co? Jajco. Adamsa to nie rusza, skoncentrowany jest na podążaniu za tyłkiem kolejnych kobiet.

2. styl - o którym pisałem wczesniej. Dodam tylko, że przed MSP przeczytałem książkę Jonathan Strange & Mr Norrel (S. Clark)i przychodzi mi do glowy takie porównanie. Książka S. Clarke to zachodnioeuropejska autostrada, natomiast MSP to górska serpentyna w dodatku zrobiona przez polskich drogowców. Obie drogi wiodą przez interesujące krajobrazy – różnica jest taka, że drogą S. Clark mknie się bez przeszkód, drogą zbudoiwaną przez Huberatha - nie. Krajobrazy owszem ciekawe, ale obraz drga, podskakuje, a kierowca (znaczy czytelnik) co i rusz wpada w dziury, nadkłada drogi itp. Owszem - na końcu drogi czeka nagroda (u S. Clark też) , ale po tej jeździe po wybojach nie ma się już na nią ochoty.

3. Krzyśku, wydaję mi się, że Twoje zachwyty Krum wynikają po trosze z tego, że fantasy czytałeś niewiele. Podobne opisy można znaleźć w wielu produkcyjniakach fantasy - i wszyscy autorzy opowiadają, że to w celu zapoznania czytelnika ze światem. Moim zdaniem Krum niewiele wnosi i można by to ścisnąc na 50 stronach a obraz wcale nie byłby zamazany. W tym wypadku tekst (o Krum) jest miedzią, milczenie byłoby złotem.

<Wojtek> Mnie natomiast dziwi recepcja tej książki przez recenzentów. Oto w Wyborczej ukazauje się recenzja pochwalna „MPS", bez najmniejszych bodaj uwag a propos jakości tej prozy. Wcześniej w „Ozonie" Kinga Dunin czyni to samo. Ja w tej sytuacji nie ufam dłużej recenzjom.

Krzysiek, argument o van Dycku i szczegółowości świata przedstawionego na obrazie, o tworzeniu jednego dzieła przez wiele lat - jest interesujący. Chyba trafiłeś w sedno. Wydaje mi się, że ten fragment (ta dyskusja o malarstwie) zdradza intencje. Huberetah. Pewnie chciał napisać opus magnum, rzecz monumentalną i obszerną, jednak wyszły dłużyzny, bo to nie takie proste trzymać wysoki poziom przez 800 stron.

Tak, czyta się to ciężko jak cholera - kilka dni później czytałem „Domofon" Białoszewskiego (ale nie Mirona), ten polski horror dziejący się w bloku na Bródnie, i cieszyłem się z lektury sprawnie napisanej prozy. Po Huberacie była to prawdziwa ulga.

Tak czy inaczej należy zgodzić się, że sama wizja i ostatnich sto stron robią wrażenie - a odpowiedzialnych za mankamenty książki należy uczynić bez wątpienia redaktorów Wydawnictwa Literackiego.

<Krzysiek> Maćku, w pewnych rzeczach należy się z Tobą zgodzić. Wymyślanie imion oraz słów to duża sztuka. I Tolkien tutaj okazuje się być mistrzem mowy, o

czym chociażby maciek biały pisuje dużo.
Pewnie Sapkowski też to czyni dobrze. Co do Dukaja - polemizowałbym, czy Zamojski to takie udane nazwisko (zwłaszcza, że przed nim takimi nazwiskami posługiwał się Ziemiański)
Ale nie ma co udawać, że Huberath jest wielkim stylistą, sam sie to tego zresztą przyznał w wywiadzie u nas. I o ile Parowski potrafił wyprowadzić Karę większą na prostą, o tyle ci cholerni redaktorzy z WL, sądząc z waszych wypowiedzi - nie.
Ale muszę też powiedzieć, że o ile w innych tekstach MSH bywało różnie, to akurat w MAice i Spokojnym słonecznym – język bohaterów był dla mnie objawieniem. Te wplecienia chorwackie i jakieś tam włoskie albo hiszpańskie. Coś wspaniałego!
Co do Fanatasy - być może masz rację, na pewno nie przeczytałem więcej niż 30 takich powieści.
Co do konstrukcji bohatera - wydaje mi się, że Adams dokonał jednak dość poważnych postępów w rozwikłaniu zagadki miast pod skałą. Tyłki tyłkami - nawet w takiej sytuacji zabiegał o tą tak istotną w moim mniemaniu rzecz.

<Krzysiek> No to ja walnę jeszcze parę „faktów" bo zupełnie przypadkiem się na nie natykam właśnie teraz:
1. Wojna Behemota z Lewiatanem (taki tytuł ma jeden z artykułów we Frondzie (17/18 1999) to wojna żywiołu Lądowego z Morskim. Świat dzieli się na część podlegającą Lądowi i podlegającą MOrzu. Są to dwa biegunowo różne systemy wartości i style życia, zwane również tellurokracją i talassokracją. Ogólnie wypada być zwolennikiem tellurokracji (potęgi lądowej), taki na przykład Chesterton był i chwalił Rzym za zniszczenie Kartaginy.
Czyli Górne Miasto i Krum, to żaden czyściec i piekło, ale po prostu dwa miasta w zaświatach, w których można równie dobrze zejść aż do piekła.
2. Lilit, jak czytam, to była pierwsza żona Adama, domagała się zrównania prawach z mężem, a kiedy stwierdziła, że nie zdoła tego dopiąć, wymówiła imię Boga i uniósłszy się w powietrze pomknęła do Morza Czerwonego. Cytat z MPS: „Nagle wypowiedziała niewyraźnie jakieś słowo, rozpostarła skrzydła i uniosła się w powietrze"
3. Adam Kadmon -świetlista istota ukształtowana na początku procesu emanacji. Transcendentny przejaw Boga. Ziemski Adam został stworzony na podobieństwo Kadmona. No i właśnie w książce się zastanawiają, czy Adams, to nie przypadkiem Kadmon, ale dochodzą do wniosku, ze jest zbyt dziadowski.
No i okazuje się, że Huberath opiera się na tych judeochrześcijańskich tradycjach (z naciskiem na judeo). W książce można wyczytać jeszcze więcej.
Ale w związku z tym zastanawia mnie, czy:
a. Adams ma parodiować Adama tylo na potrzeby tzw. herezjarchów (określenie pierwszy raz spotkałem u Wojtka). I czy w związku z tym np. jego związki z Lilit są powtórką tych z mitów (bo nie z Biblii).
b. Czy Adams tak naprawdę „produkuje" mity żydowskie-gnostyckie. Czyli innymi słowy jego związek z Lilit jest źródłem legend żydowskich, alternatywnych do historii zapisanych z Biblii. Jest to możliwe, bo przecież czas w tych miastach nie ma znaczenia. To by znaczyło, że Legendy Gnostycko-żydowskie Huberath traktuje jako herezje względem tekstu Księgi Rodzaju.

<Maciek> za tym, że Krum to nie piekło przemawia jeszcze to, że przecież urodziła się tam Renata (która bodaj jako jedyna pozostała dziewicą w Krum) Jak w piekle mogliby się rodzić bezgrzeszni ludzie? Z drugiej strony Renata nazywana była powtórnie narodzoną - dlaczego? Bo jednak wyszła na powierzchnię?
A może Miasta to jednak piekło? No bo skąd tam udręczeni ludzie i golcy, maltretowani za ścianą ognia?
i jeszcze jedno pytanie - kim była Grieta, czy jak jej tam? (ubrana dziewczyna w pochodzie golców).

<Krzysiek> Jest jeszcze jedno kuriozum.
Recenzja Miast w NF, to Ci dopiero :). Polecam przeczytanie samemu. Ja niestety zapomniałem te piękne zwroty.
Ogólnie recenzja jak najbardziej przychylna. Ale najpierw pisze autor, że książka „nicuje mity chrześcijańskie" (kabała, judaizm, chrześcijaństwo, mity, nie mity, wszak wszytko jedno) potem, parę błyskotliwych naprawdę zdań o fabule. A następnie podsumowanie, mówiące, że Książka pokazuje w jaki sposób Kościół musi ukrywać część świata, gdyż byłby on dla nas zbyt okrutny i nie żylibyśmy w błogim przeświadczeniu i nieświadomości. To trzeba po prostu przeczytać, bo ja nie potrafię powtórzyć!
Nie sądziłem, że dożyję czasów w których to Szmata oraz ilustrowany tygodnik będą prezentować poziom recenzji książki np. Huberatha kosmicznie wyższy niż bełkot mieszczący się w stu słowach publikowany w NF.

Marek S. Huberath; „Miasta pod Skałą"
Wydawnictwo Literackie; Kraków 2005

Pamiętaj mnie z nosem w książce

Maciej Guzek

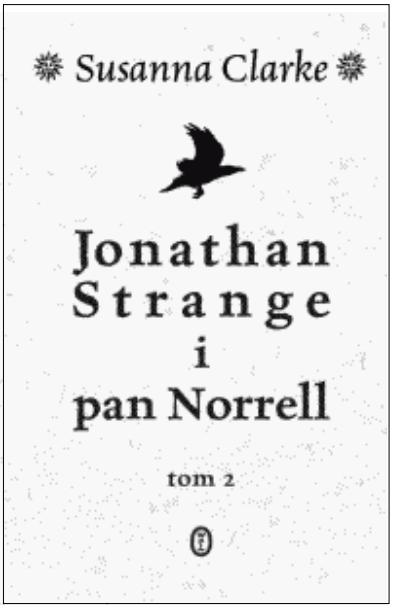

Kto z młodych pisarzy nie chciałby zadebiutować powieściowo? Wielu marzy o wydaniu książki, pisze szybko, pod ogromnym ciśnieniem - byle więcej, szybciej, mieć to już za sobą. Ten pośpiech bywa dla niektórych zgubny - czytelnik natychmiast wychwyci, że nieopierzonemu autorowi drży ręka, recenzent natychmiast wypunktuje wady. Czasem i doświadczeni autorzy, którzy utrzymują się z pisania, popełniają ten sam błąd. W myśl zasady „co rok - prorok", produkują książki w iście zawrotnym tempie, jedna po drugiej, co musi odbić się na jakości dzieła. Susanna Clarke, autorka powieści „Jonathan Strange i pan Norrell" poszła inna drogą. Nad swoją debiutancką powieścią pracowała pieczołowicie dziesięć lat. Długo? Owszem, ale po przeczytaniu książki mogę z czystym sercem stwierdzić - warto było czekać. Jonathan Strange i pan Norrell to jedna z najlepszych książek fantasy, jakie miałem okazję czytać. A fantasy czytałem sporo.

Cała historia, obejmująca grubo ponad 1000 stron, a w Polsce na dodatek podzielona na trzy tomy (uwaga - mimo trzech tomów to nie trylogia, to jedna powieść) dzieje się w Anglii na początku XIX wieku. Zatrzymajmy się przy tym na chwilę, bo jest to pierwszy z atutów książki - sceneria, specyficzny angielski koloryt oddany z niebywałym wyczuciem szczegółu i z wdziękiem. Choćby dla samych, bardzo zabawnych opisów próżnej, londyńskiej socjety warto byłoby książkę przeczytać - a to przecież tylko drobnostka. A pojawiający się w tle, tryskający energią książe Wellington, a cyniczny lord Byron, a świetna scena w kościele St Michael la Belfray, w której ożywają wszystkie posągi? Znakomite.

O ile kiedyś w modzie były neverlandy, które jeden w drugi przypominały tolkienowskie Śródziemie, tak w ostatnich latach w fantasy następuje mała rewolucja. Z jednej strony pojawiają się utwory takie jak Dworzec Perdido, które olśniewają nowatorską kreacją owych neverlandów, z drugiej strony - coraz więcej autorów przenosi akcję swoich dzieł na ziemię, lokując je w dalszej albo bliższej przeszłości. Sztandarowym przykładem jest u nas A. Sapkowski i jego cykl husycki. S. Clarke wypada zaliczyć do tego nurtu, choć z drobnym zastrzeżeniem - do tej pory autorów fantasy interesowały czasy bardziej odległe (głównie średniowiecze), podczas gdy akcja powieści S. Clarke rozgrywa się na początku wieku XIX. Dzięki temu zabiegowi (choć nie tylko,

nowych pomysłów jest sporo), książkę można bez wahania określić jako nowatorską. Jak na fantasy to nie lada komplement.

Powieść koncentruje się na losach dwóch magów - nie ma potrzeby ich przedstawiać, bo obaj wymienieni zostali w tytule, dodam tylko dla porządku, że Norrellowi na imię Gilbert. Magów, którym udało się „przywrócić magię Anglii" po wiekach, gdy sztuka ta odeszła w zapomnienie. Najpierw Norrell, potem również Strange oddają swej ojczyźnie nieocenione przysługi i to ich działania pozwalają zwyciężyć Anglikom w wojnie ze znienawidzonymi Francuzami. Jednak wątek militarny, choć ciekawy, wcale nie jest najważniejszy (mimo, że bitwa pod Waterloo, przygody Strange'a na Półwyspie Iberyjskim zrobiły na mnie duże wrażenie). Autorka splotła ze sobą wiele wątków i wszystkie są intrygujące. Ot choćby losy lady Pole, wskrzeszonej dzięki umiejętnościom Norrela. Albo historia Stephena Blacka. Są sceny pełne grozy, są sceny przywodzące na myśl „Mistrza i Małgorzatę", jest tajemniczy dżentelmen o włosach jak puch ostu, jest ostry spór między Strangem a Norrellem o kształ angielskiej magii, są celne i złośliwe spostrzeżenia. A to wszystko w cieniu największego z magów angielskich, zapomnianego Króla Kruków, który chyba nie do końca zapomniał o Anglii.

Wyjaśnijmy sobie od razu - Jonathan Strange i pan Norrel to nie Achaja - akcja nie pędzi na złamanie karku, choć, broń Boże, nie nuży. Ot, narracja spokojna i stonowana, pozbawiona zbędnych fajerwerków konsekwentnie prowadzi do finału, w którym wszystkie wątki zbiegną się w jednym punkcie. Po tym najłatwiej poznać dobrze skonstruowaną powieść - nie ma w niej niepotrzebnych elementów, nie ma nadprodukcji papieru, kilkustronicowych dygresji, nic nie wnoszących do głównej osi powieści wątków, nie ma, tak często występującej w fantasy, galerii postaci drugoplanowych, które nie wiadomo po co znalazły się w książce. Kiedy osiągamy metę, widzimy, że cała historia była doskonale przemyślana. Jak partia szachów.

Aż zazdrość bierze.

Mimo, że całą książkę mam za znakomitą, zakończenie nawet na tak dobrym tle wyróżnia się in plus- seria poruszających scen, jak choćby śmierć chytrego Lascallesa, robią piorunujące wrażenie. Te wszystkie zachwyty i pochwały, które drukuje się na tylnych okładkach, a z których czytelnicy tak często sobie pokpiwają, tym razem są jak najbardziej uzasadnione. Jonathan Strange i Pan Norrell to faktycznie brytyjska fantastyka najwyższych lotów. Nie wiem czy S. Clarke zostanie zauważona przez popkulturę (choć, zważywszy że powieść ma być ekranizowana, są na to duże szanse) ale ja stawiam ją obok takich nazwisk jak L. Carroll, C. S. Lewis, J. R. R. Tolkien czy Ch. Dickens. Bynajmniej - S. Clarke tych autorów nie kopiuje - ale jej powieść zachowuje to coś, co w angielskiej literaturze baśniowo - fantastycznej najlepsze. Podobny nastrój, podobny sposób opowiadania, podobna siła wyrazu.

I podobna klasa.

Na osobny akapit zasługuje ostatnia scena książki. O ile autorzy fantastyki radzą sobie ze scenami batalistycznymi, z opisami przyrody, czy z przedstawieniem skomplikowanej sieci intryg politycznych, pióro zawodzi ich, gdy przyjdzie napisać dialog między dwojgiem kochających się ludzi. Wychodzi sztucznie i niezdarnie, a najgorsze są sceny pożegnań - nijakie i drętwe. S. Clarke i tym razem wyłamała się ze schematu. Ostatni dialog zbija z nóg, a zwłaszcza ostatnie zdanie

Pamiętaj mnie z nosem w książce.

Tak, to dobre pożegnanie. Chciałbym, żeby i mnie tak zapamiętano.

Susanna Clarke; Jonathan Strange i pan Norrell; Wydawnictwo Literackie; Kraków

Polska Pieśń Lodu i Ognia?

Maciej Guzek

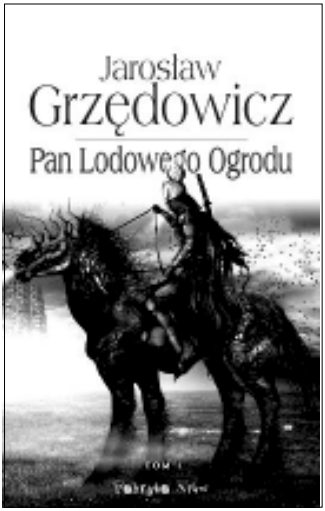

Ostatnio miałem szczęście do debiutów - co chwyciłem za książkę, to hit. W innym miejscu piszę na tych łamach o powieści „Jonathan Strange i Pan Norrell", ale przecież nie trzeba mieszkać w Anglii, żeby zadebiutować znakomitą powieścią. J. Grzędowicz udowodnił - można i u nas. Wprawdzie, oddając sprawiedliwość, J. Grzędowicza trudno uznać za nową twarz w środowisku, jego wcześniejsze opowiadania zdobyły mu wierne grono czytelników (a tekst „Buran wieje z tamtej strony przyniósł" mu nagrodę SFinksa) niemniej jednak powieściowo zadebiutował Grzędowicz dopiero w 2005. W wieku czterdziestu lat. Późno.

Ale za to w jakim stylu!

Recenzując powieść J. Grzędowicza „ Pan Lodowego Ogrodu" J. Dukaj w Nowej Fantastyce napisał, że od czasu opowiadań o wiedźminie nie było w Polsce równie dobrze napisanej fantastyki przygodowej. Choć osobiście cykl husycki uważam za literacko lepszy niż saga o wiedźminie, to faktycznie, zestawienie z Sapkowskim jest trafione. „Pan Lodowego Ogrodu" czyni Jarosława Grzędowicza drugą strzelbą polskiej fantastyki, jeśli chodzi o sprawność opowiadania historii.

Impressive.

Jednak, pomijając łatwość kreowania ujmujących bohaterów (jak nie polubić głównego bohatera?), pomijając swobodę z jaką Grzędowicz snuje opowieść, pomijając wreszcie nieco wisielczy humor, bliżej Grzędowiczowi do innego asa fantasy - a mianowicie do G.R.R. Martina. Wiele scen nawiązuje do świetnego cyklu „Pieśń Lodu i Ognia" autorstwa Martina właśnie. Obudzeni Grzędowicza dla przykładu kojarzą się z Innymi Martina. W innym miejscu pobrzmiewa silnie echo wspaniałego opowiadania Piaseczniki (również autorem był Martin). Jednak takie inspiracje to żaden wstyd - jeśli się uczyć, to od najlepszych.

Nawiązań jest zresztą znacznie więcej i są to nawiązania w pełni świadome. Jednak postmodernizm nie męczy, pełni role dodatku, przyprawy która powoduje, że główne danie - opowieść - ma właściwy smak.

A zarys opowieści jest następujący. Główny bohater - maszyna do zabijania - ma za zadanie odnaleźć i uratować członków misji, badającej odległy świat - Midgaard. Planeta ta, jakkolwiek bardzo podobna do Ziemi, różni się od niej kilkoma szczegółami. Między innymi poziomem rozwoju technologicznego, który przypomina ziemskie średniowiecze. Różni się również tym, że występuje na niej - o zgrozo - magia. W tych warunkach wypełnienie misji nie będzie proste. Nawet dla kogoś tak dobrze przygotowanego jak Vuko Drakkainen. Na przemian z losami Drakkainena czytelnik śledzi losy upadku dynastii, która włada potężną kraina - Amitrajem. Ta historia, choć mniej wyeksponowana (autor poświęca jej mniej miejsca niż zmaga-

niom Drakkainena) jest równie interesująca. Jestem bardzo ciekaw w jaki sposób autor powiąże oba wątki - ale na to przyjdzie niestety poczekać do drugiego tomu.

Pierwszy rzut oka na to streszczenie i czytelnik pomyśli - nihil novi sub sole. Może i tak, ale nie w tym tkwi siła „Pana Lodowego Ogrodu". Siła tkwi w wykonaniu, które jest znakomite. Książka posiada bardzo wysoki współczynnik „czytalności" i uzależnia od siebie równie bezlitośnie jak heroina. Kto przeczytał pierwsze sześćdziesiąt, siedemdziesiąt stron - musi doczytać do końca. A wtedy, zważywszy na zakończenie będzie błagał o więcej.

Słyszałem porównania „Pana Lodowego Ogrodu" do powieści Ziemiańskiego, ale, bądźmy szczerzy są one dla powieści Grzędowicza krzywdzące. „Achaja", jakkolwiek zdobyła sporą popularność miała wiele wad, których „Pan Lodowego Ogrodu" szczęśliwie jest pozbawiony. Styl, jak wspomniałem wcześniej, jest znakomity, nie ma tam takich kwiatów, jak owe słynne już wieloliterowce Ziemiańskiego typu „aaaaaaaaaaaaa!" itp.

Niestety, powieść ma i wady, a największą z nich jest to, że drugi tom nie wyszedł równolegle z pierwszym. Mimo, że powieść liczy sobie ponad 500 stron, chciałoby się więcej, chciałoby się poznać całą historię. Data opublikowania drugiej części pozostaje, niestety nieznana, a co bardziej niecierpliwym czytelnikom pozostaje tylko nękać wydawcę, by przyspieszył termin wydania.

Otwarte pozostaje pytanie, czy powieść odniesie sukces na naszym rynku. Nie jest to zadanie proste, tych, którym się udało można policzyć na palcach, ale z drugiej strony - jeśli „Pan Lodowego Ogrodu" nie zrobi furory, nie wiem doprawdy co mogłoby zdobyć serce polskiego czytelnika. Dawno nie wydano w Polsce równie dobrego czytadła (określenie to traktuję jako komplement, kiepskie książki nie zasługują na miano czytadła, bo czytać ich niepodobna) i nam, czytelnikom, pozostaje czekać na więcej.

Oby nie tak długo, jak czekamy na kolejne tomy cyklu Martina. Tego, Panie Jarosławie, niech się Pan od Martina nie uczy.

Jarosław Grzędowicz; Pan Lodowego Ogrodu; Fabryka Słów; Lublin 2005

Instynkt a [wirtualna] rzeczywistość

Szymon Urbanowicz

Co jest gorsze dla czytelnika – to, że niektóre książki mają niepokojący zwyczaj czytać jego samego, czy też fakt, że rozprzestrzeniający się meksykański grzyb wkrótce zniszczy cały papier na ziemi? W dodatku nie można od tego dylematu uciec w dostępną powszechnie rzeczywistość wirtualną, bo ryzykuje się atak *violatora* – gwałciciela cyberprzestrzeni. Albo niespodziewany udział w symulacji o regułach stwarzanych przez samozwańczego wirtualnego Boga - hackera.

Debiut powieściowy Wojciecha Szydy *Hotel „Wieczność"* takich problemów dotyka, lecz się do nich nie ogranicza. Mamy intrygujący, mroczny jak polski październik początek, mamy trójkę bohaterów – pisarza, detektywa i studentkę, potencjalną pracownicę Hotelu „Eternity". Tłem jest wspomniany hotel, o niepokojąco znaczącej architekturze, położony urokliwie w alpejskiej dolinie. Jest i mord, co usprawiedliwia obecność detektywa. Fabuła prowadzi nas linią śledztwa przez meandry intertekstualnych odniesień. W obrazach hotelu, ucieczki dla znękanych twórców, ostoi spokoju, przegląda się Borges, a bohaterom na myśl przychodzą dziesiątki innych skojarzeń.

Przez kolejne strony powieści czytelnika pcha niczym nie poskromiona ciekawość, podsycana umiejętnie przez autora za pomocą sprawnie używanych symboli i metafor. Z cyberpunkowego sztafażu Szyda wyciąga coś nowego i niepokojącego. I dobrze, bo najwyższy czas zastanowić się nad bardziej humanistycznymi dylematami związanymi z technologiami jutra. Zdradzać fabułę byłoby nieelegancko, ale lekturę wieńczy refleksja, że prawda odarta z wirtualnych miraży i interpretacji brzmi boleśnie pospolicie. Jest ona tu bowiem,

niczym w zagadce logicznej, oczywista już po jej poznaniu.

O niekonwencjonalnym użyciu przez Szydę zużytego już lekko motywu wirtualnej rzeczywistości świadczy też delikatne przesunięcie akcentu. W *Hotelu „Wieczność"* nawet tandetna wirtualna makabra (nie wspominając o wyrafinowanych psychicznych i fizycznych torturach), działa tak samo jak rzeczywista. Odnosi się bowiem do instynktów i odruchów trwale zakorzenionych w naszej psychice. Dotychczas twórcy wirtualnych koszmarów starali się je urealnić, tając przed bohaterami świadomość przebywania w symulacji – u Szydy nawet ta świadomość nie pomaga.

Hotel „Eternity" jest teatrem działań ludzkich, psychologicznie umotywowanych i warunkowanych przez znane nam odczucia. Realne odczucia, nie tylko blade, symulowane widma. Do hotelu przybywają kolejne ćmy, zwabione rzeczami niesamowicie ludzkimi – pisarz przybywa szukać przyczyn śmierci swego przyjaciela po piórze, detektyw, bo mu ktoś zlecił wyjaśnienie morderstwa, a Sonia, oczytana dziewczyna, szuka wyzwań w pracy w alpejskim hotelu. Te cele to zwykłe latarnie, które zapala w oczekiwaniu na ćmy zbieracz – kiedy już się pojawią, są skazane na jego łaskę.

O czym właściwie jest powieść Szydy? Fabuła zapożyczona z kryminału zostaje przytłoczona przez metafizykę, która jest takim samym narzędziem co cyberpunkowa scenografia. Nie odbiera to jednak przyjemności obcowania z książką. Nietypowe użycie technologii VR oraz wątek detektywistyczny nie wyczerpują fabuły. Mając niesamowity problem z zaklasyfikowaniem powieści muszę jeszcze zwrócić uwagę na dobrze wykorzystaną estetykę horroru, i to z makabrycznej szkoły horrorów klasy B.

Na dnie naszych dusz czają się w jednym tyglu uczucia wysokie, jak współczucie, poczucie obowiązku czy zdrowy strach, wraz z niskimi pobudkami – manią wielkości, okrucieństwem, perwersją. Na co dzień ograniczają nas wymogi rzeczywistości, normy moralne i prawne, sumienie. Ale jeśli otrzymamy zabawkę, która pozwala je ignorować?...

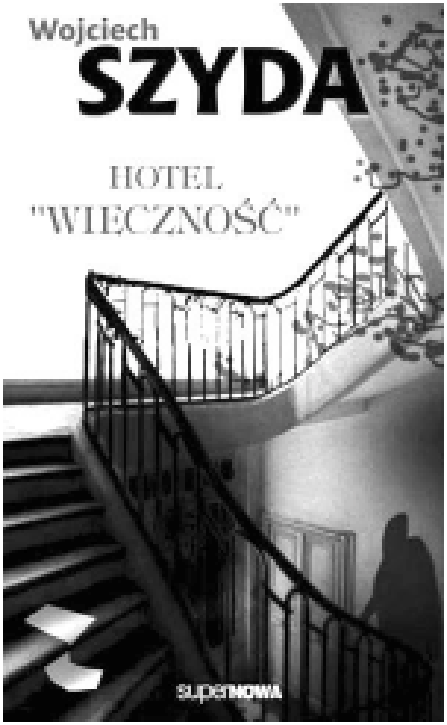

Jak powiedziałem, książka prowadzi szybko i efektownie do finału. A ten, wbrew mojej nadziei, nie uspokaja. Nie tryumfuje powszechna prawda i flaga z gwiazdkami (to akurat dobrze), ale nie tryumfuje też i rozsądek. Wydaje się, że przetrwanie zapewnia jedynie instynkt, potrzeba ucieczki i adrenalina. Czy to źle? Nie wiem. Może w dobie oszukiwania zmysłów, zawieszenia niewiary lub jej zupełnej niewystarczalności, instynkt jest jedyną metodą przetrwania?

Powieść jest konsekwentna i mocna. Intryguje na początku, klasycznie straszy w środku i niepokoi zakończeniem. Zmusza do przemyśleń, sugeruje podwójne dna, zaciemnia pozornie znane nam sensy. Jednocześnie odświeża i przedefiniowuje stare schematy, jak choćby w wizjach przekształcającego się wirtualnego piekła. I daje na wszystko stare jak świat odpowiedzi – instynkty.

Wojciech Szyda *Hotel „Wieczność"*
superNOWA, Warszawa 2005.

Gibson reLOADED

Paweł Ostrowski

Gdzieś po drodze do przeczytania „Rozpoznania wzorca" zamierzałem po prostu rzucić książką o ścianę. Bodaj tylko mój wyrobiony szacunek dla słowa pisanego ocalił Gibsona przed rolą pocisku; powiedzmy, że było to apogeum moich wysiłków na rzecz niezapoznania się z najnowszą powieścią samotnika z Vancouver.

W momencie tym znałem się z „Rozpoznaniem wzorca" już dość nieźle. O książce usłyszałem na długo przed tym, zanim się pojawiła w Polsce, choć, oczywiście, nie zaraz po jej ukazaniu za oceanem. Serdeczny mój przyjaciel pracujący w Zysku i S-ce doniósł mi kiedyś podekscytowany, że wydawnictwo kupiło prawa i Gibson jest już w tłumaczeniu. Dalej przyjaciel ów reklamował mi „Rozpoznanie wzorca" jako wydarzenie literackie roku w Stanach, cytując opinie już to „Washington Post", już to „New Yorkera". Nie wymagało to nawet z jego strony wielkiego wysiłku, miał mnie bowiem za miłośnika prozy Gibsona (co jest prawdą), aczkolwiek z góry zastrzegał, że rzecz jest inna niż powieści i opowiadania wydane dotąd w Polsce.

Dalej, mając mnie za znawcę twórczości autora „Neuromancera" (co zresztą też jest prawdą), Daras zaproponował mi napisanie recenzji, a nawet dostarczył w tym celu tak zwane szczotki, czyli wydruk po korekcie i z naniesioną drugą redakcją. Recenzję ową miałem napisać dla „Nowej Fantastyki", a rzeczone szczotki miały zagwarantować że nie ukaże się ona, jak przysłowiowa musztarda po obiedzie, w pół roku po ukazaniu się książki. Na me obiekcje, że z pisemkiem owym już nie współpracuję, a nawet nie wiem, kto teraz odpowiada za publicystykę, druh mój niezrażony obiecał, że moce wydawnicze stoją za mną i on jako przedstawiciel Zyska zażyczy sobie, żeby dzieło to przeznaczono mnie. Tak tedy zabrałem się do czytania.

Szło mi jednak niemrawo. Zdążyłem doczytać, bez nadmiernej zresztą ekscytacji, gdzieś tak do 30 strony, gdy w wyniku pożałowania godnego incydentu szczotki się spaliły. Sprawa recenzji zatem przycichła, gdyż drugich szczotek przyjaciel mój oczywiście nie miał. Przypominam sobie jakby przez mgłę, że przy okazji któregoś tam z rzędu świętowania, że żyję, padła bodaj z ust druha mego szlachetna propozycja, że prześle mi plik z „Rozpoznaniem wzorca" mailem, co jednak okazało się niewykonalne z tej prostej przyczyny, że pożałowania godny incydent pochłonął również mój komputer. Tymczasem powieść wreszcie pojawiła się w księgarniach, ale jakoś nie miałem wielkiej ochoty jej nabywać, tym bardziej, że zmuszony byłem (nadal jestem) do uzupełnienia 90% stanu mej biblioteki. Jednakże Dariusz nie dawał za wygraną, i wiedziony tajemnym imperatywem, Gibsona mi po prostu pod jakimś pretekstem podarował.

Kolejne wysiłki na rzecz przebrnięcia przez przedmiot tej opowieści zakończyły się niepowodzeniem, tym razem bodaj na stronie 40. Gotów byłem już, jak wspomniałem, zwyczajnie cisnąć książką o ścianę, alem się powstrzymał; po namyśle stwierdzam, że bardziej jednak odwiodło mnie poczucie winy – jakoś tak prezentem, ofiarowanym ze szczerego serca, nie wypada. Nie chciałem się poza tym zbliżać do poziomu moich przyjaciół, rozgrywających na pewnej imprezie mecz którymś tam tomem „Harrego Pottera". Do dziś zresztą taki jeden poganiacz lemurów wita mnie nucąc na melodię kibicowskiej przyśpiewki:: *Dawaj Pottera! Ostrowski, dawaj Pottera! Daaawaj Potteeeeeraaa!* I tak dalej... Ale ja w sumie nie o tym. Dzielnie opierając się zatem zapoznaniu z „Rozpoznaniem wzorca" podarowałem go swojej narzeczonej, nie wykluczając zresztą, że w bliżej nieokreślonej przyszłości książkę sobie od niej pożyczę celem pobieżnego przynajmniej zapoznania się z treścią. Jednakowoż szansa zrealizowania się tego scenariusza, jak mi się wydawało, zmalała dość wyraźnie, gdy narzeczona stała się nagle eks-narzeczoną.

Właścicielem powieści stałem się po raz trzeci i ostatni jak dotąd, gdy oddawszy Zyskowi jakieś usługi (zdaje się, żem wtedy poprawiał tłumaczenie po panu Łozińskim) upoważniony zostałem do pobrania za nie wynagrodzenia w książkach. Zamówiłem zatem rozmaite pozycje, po czym

wyszło na jaw, że jedną z nich już posiadam. Cóż było robić. Karma, los, przeznaczenie, nazywajcie to jak chcecie. Wziąłem sobie to nieszczęsne „Rozpoznanie wzorca". Czy muszę wyjaśniać dalej, że lektura szła mi jak po grudzie?

Na swoje wytłumaczenie muszę jednak podać, że nowy Gibson nie jest łatwy w czytaniu. Czy nie zirytowalibyście się natrafiając co rusz na drobiazgowe opisy, jak też ubrani są bohaterowie? Autor konsekwentnie brnie w szczegóły na temat kroju i tkaniny, sypie nazwami projektantów i podaje nazwy mniej lub bardziej wytwornych butików. Jeżeli w powieści się pali i pije, to oczywiście natychmiast znamy marki papierosów, alkoholi i innych napojów chłodzących. Podobnie ze wszelkiego rodzaju gadżetami. Jeżeli bohaterka używa komputera, to okazuje się być nim akurat Mac (konkretnie Cube, jakby kto pytał), padają nazwy ekspresów do kawy, zapalniczek, i tak dalej. To samo, oczywiście, dotyczy wszelkiego rodzaju lokali, kawiarenek, restauracji; wszystko, ze szczegółami menu i wystroju, opisane i brak bodaj tylko adresów mailowych i numerów telefonów. Product placement pełną gębą, przewodnik po trendach i modach dla post-yuppie. Ale na szczęście nie o tym jest ta książka.

Z akcją też nienajlepiej. Główna bohaterka, Cayce Pollard, najchętniej nie wyłaziłaby z netu. Połowa istotnych dialogów składa się z wymienianych maili. Cayce niby jest w podróży służbowej do Londynu, załatwia sprawy zawodowe, ale cały czas wolny poświęca na śledzenie postów na ulubionym forum. Napotykani ludzie niewiele tak naprawdę dla niej znaczą, bo nigdy nie wejdzie w nimi w tak intymny związek, jaki ma z ulubionymi użytkownikami. To z nimi potrafi szczerze i otwarcie rozmawiać, oni są dla niej prawdziwymi, choć tylko dwuwymiarowymi przyjaciółmi. Więc akcji może nie być, zastąpią ją maile i wpisy. Książka złożona z cyfrowej korespondencji: cóż to odkrycie! Jakie nowatorstwo formalne! Samotność w sieci/towarzyskość w sieci/uzależnienie od netu, niepotrzebne skreślić? Na szczęście, nie o tym jest ta książka.

Jeszcze gorzej, gdy chodzi o przedmiot fascynacji Cayce, jej najlepszego przyjaciela z forum WParkęUbranego, Mamy Anarchii i innych. FETYSZ:EMEFY:FORUM to miejsce, w którym spotykają się fascynaci emefów, krótkich filmików puszczanych w net przez anonimowego twórcę. Poszczególne segmenty wyglądają czasem na pojedyncze etiudy, czasem na fragmenty większej całości, nigdy jednak nie dają jasnych wskazówek na temat miejsca i czasu swojego powstania. Niekiedy emefy sprowadzają się wręcz do jednego długiego ujęcia, jednego najazdu kamery na twarz, jednego gestu, jednej postaci. Ale na F:E:F ścierają się z zajadłością godną lepszej sprawy zwolennicy setek interpretacji, glosatorzy i zwolennicy alternatywnego montażu. Szkoła kompletystów zwalcza argumenty szkoły progresistów, powołując się na francuskich filozofów, i odwrotnie. Problem w tym, że autorowi powieści łatwo obwołać emefa arcydziełem, trudniej przekonać czytelnika tekstem o jego wyjątkowości. Gibsonowi idzie to niesporo, zupełnie jakby miał udowodnić, że bohater jego powieści jest na przykład matematycznym geniuszem. Więc dowiadujemy się trochę o emefach, jak wyglądają, jakie robią na widzach wrażenie, wreszcie – nawet - jak się je tworzy, ale czytelnik kwituje te wysiłki wzruszeniem ramion. Cóż, emefy to pewnie jakieś artystyczne ultrakrótkometrażówki, spodziewam się, że w sieci można znaleźć takich pełno (kto chętny, niech sprawdza). Na szczęście nie o filmie amatorskim jest ta książka.

Nie mogę natomiast napisać, że „Rozpoznanie wzorca" nie przypomina poprzednich powieści Gibsona; jest wprost przeciwnie. Pewne tematy, obsesje, pragnienia tkwią w autorach trwale, to i wyłażą przy byle okazji. Autor „Neuromancera" nie jest tu wyjątkiem. Można zaryzykować nawet stwierdzenie, że Gibson od 1984 roku pisze na nowo tę samą powieść, stopniowo odzierając ją z kolejnych elementów fantastycznego sztafażu. O scenariuszu do „Johny'ego Mnemonica" nie wspominam celowo, bo dość bezpośrednie przełożenie języka powieści na język obrazu nie zakończyło się sukcesem, natomiast opowiadania Gibsona – zebrane u nas w tomie, nomen omen, „Johny Mnemonic" – wyglądają prawie bez wyjątku na szkice do powieści, wprawki pewnych scen i postaci, które zresztą niejednokrotnie zdarzało się Gibsonowi wykorzystywać. Natomiast dwa zakończone do tej pory cykle powieściowe Gibsona wyraźnie zdradzają, że autor ten porusza się w tym samym kręgu zainteresowań, najwyżej zmieniając ich punkt ciężkości w

konkretnej powieści. Trylogia z Ciągu, przypominam, podejmowała temat wysokich SI, obecnych także w trylogii drugiej, słabiej obudowanej fantastycznym sztafażem, co zresztą nie oznacza, że dużo gorszej. Druga trylogia eksploatowała temat funkcjonowania (albo raczej dezorganizacji) społeczeństwa informatycznego. Jej druga i trzecia część, „Idoru" i „Wszystkie jutra" wiodą nas z kolei prosto ku „Rozpoznaniu wzorca". CayceP posiada umiejętność, która w powiela pomysł pojawiający się po raz pierwszy w „Idoru". Cayce umie mianowicie od jednego spojrzenia ocenić, czy logo lub znak towarowy odniesie rynkowy sukces. Tytułowe „Rozpoznanie wzorca" jest więc umiejętnością pozaświadomego odczytania siły oddziaływania znaku; Cayce potrafi to zresztą aż za dobrze, bo niektóre loga uderzają ją z siłą młota. Nasza bohaterka ma więc czasem problemy z przejściem przez zwykły pasaż handlowy. W „Idoru" i „Wszystkich jutrach" mieliśmy tą zdolność podniesioną do n-tej potęgi, a bohaterowie nią obdarzeni potrafili wyławiać z wszechświata informacji pozornie niezwiązane ze sobą fakty i przewidywać na ich podstawie zmianę ogólnoświatowych trendów w wybranej dziedzinie. A zatem kolejna redukcja elementu fantastycznego, tym razem już do zera. „Rozpoznanie wzorca" oznacza też odwrót czasowy; akcja powieści rozgrywa się współcześnie w Londynie, Tokio, Moskwie. I tak to Gibson zakończył swój odwrót od science fiction.

Mimo jednak, że mamy do czynienia z powieścią współczesną, to nie podlega jednak wątpliwości, że mamy do czynienia z autorem „Grafa Zero". Po staremu bohaterowie Gibsona są wolnymi strzelcami, nie za bardzo radzącymi sobie z rutynową pracą w zespole. Kolejny raz autor serwuje nam opisy wszelkich możliwych detali ubioru, wystroju wnętrz i rozmaitych gadżetów (naprawdę, jakby mu za to płacili!). Pozostając przy ubraniach, miło zauważyć, że pozostaje Gibson nylonowym fetyszystą. Piszę to zresztą zupełnie poważnie; zauważcie, że w każdej powieści autora „Neuromancera" prędzej czy później pojawia się bohater/bohaterka (częściej!) w nylonowej kurtce. Ważniejsze zresztą, że tak jak w ostatnich co najmniej czterech powieściach Gibsona znajdziemy wnikliwą analizę funkcjonowania społeczeństwa informatycznego, jakie swoimi pierwszymi, stricte cyberpunkowymi książkami autor w pewnym stopniu pomagał kształtować.

I tędy wiedzie droga do zrozumienia, o czym jest ta książka, a przez rozpoznanie – podziw dla autora. Gibson właśnie przekroczył granicę, bardzo trudną do osiągnięcia przez pisarzy SF i fantasy, poza którą literatura przestaje się już dzielić na popularną i wysoką – jest tylko dobra.

„Rozpoznanie wzorca" jest opowieścią o tęsknocie za autentycznością, tak trudną do odnalezienia we współczesnym świecie. Klucz do ostatniej powieści Gibsona wiedzie właśnie przez odrzucenie wszystkiego tego, o czym ona z pozoru opowiada. W zderzeniu z mrowiem otaczających nas przedmiotów bierze się pragnienie obcowania z czymś – czymkolwiek – prawdziwym, autentycznym. Produkt wyklucza autentyczność, zdaje się powiadać Gibson ustami swojej bohaterki, na co dzień poruszającej się w rzeczywistości zaprojektowanej równie starannie jak nowe logo, które firma reklamowa przedstawia jej do akceptacji. Emefy są tworzone, nie zaprojektowane, i na tym tak naprawdę polega ich siła. Damien, przyjaciel Cayce, kręci filmy dokumentalne w postsowieckiej dziczy. Inny z bohaterów, Wojtek, mozolnie tworzy działo sztuki ze skupowanych stareńkich ZX-81 Spectrum, w wolnych chwilach pomagając przyjacielowi sprzedawać kolekcjonerom archaiczne mechaniczne kalkulatory. Nic bardziej autentycznego niż obsesja lub fobia. Emefy to jeden z jej przedmiotów, w istocie równie dobry, jak każdy inny, z dwoma jednak wyjątkami. Dla Cayce segmenty realizują drugi człon opozycji: wymyślone – stworzone. Bohaterka „Rozpoznania wzorca" potrafi dostrzec siłę, czasami nazbyt brutalną, tkwiącą w kilku pozornie niedbałych pociągnięciach pędzelkiem, nie jest ona jednak autentyczna. Tę maja emefy; jest to powód zainteresowania tak wielu osób, rozsianych po całym świecie, ale i przekleństwo segmentów. Tutaj bowiem pojawia się drugi wyróżnik wyjątkowości dzieł nieznanego twórcy: marketingowo-reklamowa machina dąży do poznania sekretu ich mocy i zmanipulowania jej w swoich celach. W pewnym momencie Cayce zdaje sobie sprawę, że jej pragnienie poznania anonimowego artysty jest wykorzystywane i właśnie zaczęła pracować dla kogoś, kto chce przejąć emefy dla własnej korzyści. Mimo to nie rezygnuje z prób dotarcia do ich twórcy. Doskonała jest scena, gdy

Cayce wyznaje prawdę WParkęUbranemu, który, rzecz jasna, doskonale ją rozumie i popiera. Znają się tylko z sieci, w realnym życiu nigdy się nie spotkali, ba, Cayce w pewnej chwili czuje się skrępowana, gdy musi zapytać WParkęUbranego o imię. Ale łączy ich jedyna autentyczna rzecz w ich życiu: obsesja na punkcie emefów. Poza nią pozostaje tylko projektowanie, wytwarzanie i konsumowanie produktów, więc Cayce stara się znaleźć w tym świecie jak może: unika pewnych pasaży handlowych, odziera ubrania z metek i chodzi na pilates.

I tutaj dochodzimy do problemu z odnalezieniem własnej tożsamości w domu towarowym. Na początku lat 90. ubiegłego wieku, pewien filozof przyrównał społeczeństwo liberalne do domu towarowego idei. Mamy wiek XXI i pozostał nam już tylko dom towarowy. Idee przeminęły wraz z wiekiem XX. Ogłoszono triumfalnie koniec historii, co większość przyjęła z niejaką ulgą, bo nie trzeba już posiadać poglądów, skoro i tak wszystkie są nijakie. *Cóż nam zostało po śmierci Boga, wyższych ideałów, honoru, bezinteresownych uczuć, w zatłoczonych miastach, pod kwaśnymi deszczami, prócz pań i panów z reklamówek, głoszących keksy, budynie i smary jako przyjście Królestwa Niebieskiego?* - retorycznie pytał kiedyś Lem. Więc pozostaje wybór między Pepsi a Coca-Colą, niuanse jednej albo drugiej kampanii reklamowej, i może czasem decyzja, gdzie pojechać na wakacje. To smutna prawda, która stosuje się również do bohaterów „Rozpoznania wzorca": oni nie mają dokąd uciec przed ekspresami do kawy Brauna, gazetkami pokładowymi w samolocie i hotelowymi śniadaniami. Niektórym jeszcze przeszkadza nieuchwytne wrażenie dotyku, smaku plastiku, i kolory, które wszędzie wyglądają jakby dobierano je przy świetle jarzeniówek... Wszędzie *jet lag*.

Cayce się broni, Cayce się nie poddaje. Ale to nie jest powieść tylko o niej, ona jest także o mnie.

Nic na to nie poradzę: „Rozpoznanie wzorca" jest dla mnie książką pokoleniową. Nie sądzę, żeby Gibson mógł nią dotrzeć do nastolatka: to jednak nie te same lęki, pragnienia, suma doświadczeń. Żeby sobie porządną obsesję wyhodować, potrzeba czasu. Mimo wszelkich różnic kulturowych lepiej rozumiem Cayce, niż kolegów mojego brata. Nie ta trauma (Cayce straciła ojca w zamachu na WTC), nie ten poziom życia, wreszcie – *jet lag* to ja mam najwyżej wracając z konwentu, a nie z Japonii, ale jednak podobne pytania. Radzimy sobie w świecie techniki i techników nieporównanie lepiej niż nasi rodzice, ale pozbawieni jesteśmy dobrodziejstwa, jakim być może byłaby umiejętność młodszych, zdolność beztroskiego życia między półkami pełnymi towaru. To nie zarzut. Oni mają swoje pokoleniowe doznania i związaną z nimi literaturę, dla nas mniej pewnie zrozumiałą, niż transmisja obrad Sejmu. Za 10 lat ktoś napisze, znów dla nas, powieść taką jak choćby „Układ" Elii Kazana, która zwala z nóg z zupełnie innych powodów. Liczy się jednak tu i teraz, „Rozpoznanie wzorca" i my. Jesteśmy bardziej odporni na memy, puszczane w obieg przez specjalistów od reklamy, warunkujące umysł jak dzwonek psy Pawłowa; ba, czasem my jesteśmy tymi specjalistami. Ostatnia powieść Gibsona zupełnie naturalnie skierowana jest do trzydziestolatków (wieku nie bierzmy zbyt dosłownie), o których opowiada: o ludziach, którzy wprawdzie jakoś się w życiu zdążyli urządzić, mają pracę, kariery, ale rzadko kiedy poukładane sprawy osobiste. „Rozpoznanie wzorca" dotarło do mnie z opóźnieniem, kiedy z gorzkim zdumieniem zacząłem dostrzegać w jej bohaterach obraz samego siebie. Pojąłem później również, że pokrętne drogi, jakimi doszedłem do *„...i sama zapada w sen"* i zamknąłem książkę, były być może miejscami zabawne, ale biegły nieuchronnie do celu. Prędzej czy później musiałem przeczytać tę historię. Dla mnie „Rozpoznanie wzorca" to przede wszystkim opowieść o zrealizowanym marzeniu. Marzenie takie nieuchronnie towarzyszy przeczuciu, że nie wszystko jest jeszcze w porządku, że nadal na coś lub na kogoś czekamy, poszukujemy, czasem nie bardzo wiedząc, czego. Rzadko uczucie to daje się ująć w słowa, jeszcze rzadziej słowa te zdołamy do drugiej osoby wypowiedzieć, bo niepisana umowa stanowi, że nic nie trzeba tłumaczyć. CayceP znalazła coś innego, niż szukała, gdy zaczynała realizować swoją obsesję na punkcie emefów. Ale przede wszystkim – miała dla siebie coś autentycznego, własnego, a dzielonego z przyjaciółmi. To ogromnie dużo. To pocieszające i smutne zarazem.

Darku, dziękuję.

Jako że Redakcja Innych Planet idzie z czasem, z postępem, z osiągnięciami, w dzisiejszej edycji Planety Absurdu przedstawiamy Grę Internetową, która dzięki Wam ma szansę stać się hitem sezonu. Wystarczy rozesłać poniższy tekst do wszystkich swoich znajomych w formie spamowego maila i zacząć działać zgodnie z instrukcjami. Co do reszty, to niech tekst przemówi sam za siebie...

Gra Internetowa

Tomasz B.

Drogi Internauto. Wyobraź sobie sytuację, w której siedzisz sobie spokojnie i pracujesz przy komputerze, a tu nagle wyskakuje okienko Twojego komunikatora (GG, Tlen czy co tam aktualnie używasz) i jakaś nieznana Ci osoba obrzuca Cię zabawną inwektywą. Wyobraź sobie też inną sytuację, w której siedzisz sobie spokojnie i pracujesz przy komputerze i w pewnym momencie robisz sobie przerwę pisząc komunikat do nieznanej Ci osoby i nazywając ją wszystkimi imionami, jakie tylko sobie wymyślisz. Brzmi zabawnie? To czytaj dalej i weź udział w naszej grze internetowej!

Zasady są proste. Używając dowolnego komunikatora internetowego widzisz swoich znajomych, których masz na liście i widzisz ich opisy w danej chwili. Oni z kolei mają listę swoich znajomych i widzą ich opisy, a ich znajomi mają swoich itd. W ten sposób tworzy się sieć zależności, w której jesteśmy my wszyscy. Jak by to wykorzystać?

Jeśli chcesz wziąć udział w grze, wpisz w opisie swojego komunikatora: „**XXX to semprini**", gdzie XXX niech będzie numerem GG lub nickiem w Tlenie znajomej osoby, która gra z nami – np. tej od której dostałeś ten list. Wtedy każdy, kto wie o tej grze i widzi Twój opis ma prawo wysłać do tej osoby (nawet jeśli jej nie zna) wiadomość i naubliżać jej w zabawny sposób. Może napisać: „Ty głupku!" (co jest jednak mało oryginalne), albo może napisać „Ty napletku mamuta!" lub „Ty brakujące ogniwo w teorii Darwina!" lub cokolwiek przyjdzie mu do głowy. Tylko Twoja wyobraźnia jest tu granicą!

W ten sposób osoba, której numer podałeś w swoim opisie dostanie w krótkim czasie kilka/kilkanaście mniej lub bardziej zabawnych wiadomości. Będzie mogła wtedy wybrać sobie jedną osobę z tych, które jej naubliżały i wpisać jej numer lub nick w swoim opisie: „**XXX to semprini**" i wtedy wszyscy jej znajomi, którzy widzą ten opis będą mogli zacząć wysyłać miłe wiadomości pod ten numer.

Prześlij tę wiadomość wszystkim swoim znajomym i po prostu zacznij grać. Jeśli dużo osób przyłączy się do zabawy, to w sieci zrobi się naprawdę ciekawie! Gra ma same zalety: można poznać ciekawych ludzi, poczatować z nieznanymi osobami, zawrzeć nowe przyjaźnie czy nawet umówić się na seks. So… Let's get it on!

O NACHALNYM SUMIENIU, KTÓRE CZASAMI ZDROWO JEST KOPNĄĆ W D..., MIMO IŻ BĘDZIE NAM Z TEGO POWODU CZYNIŁO WYRZUTY

Mutant

rys. Żyleta

Niektóre książki są takie dobre, że aż mi się nie chce ich czytać. Tak rzecz się ma niezmiennie z książkami Jacka Dukaja i Grega Egana, nie mówiąc już o Gibsonie czy Stephensonie. Tak było też swego czasu z „Zamkiem" Kafki i z „Biesami" Dostojewskiego.

Czy w końcu doczytuję te książki, czy nie, zależy od aktualnego nastroju. Jako posiadaczka natury o zabarwieniu maniakalno-depresyjnym mam swoje wzloty, i to im zawdzięczają niektórzy z powyższych autorów moją fascynację, ale mam i upadki. Ostatnio upadłam przy Iainie Banksie, skądinąd autorze trzech wysoko przeze mnie cenionych powieści, które, rzecz jasna, przeczytałam w fazie wzlotu. Co ciekawe, nie upadam przy książkach, przy których upada wielu. W tym miejscu nie omieszkam się poszczycić kilkakrotną lekturą „Miasta automatów" znanego pisarza z czasów PRL-u Jana Drzeżdżona. Jakkolwiek na pierwszy rzut oka powieść sprawia wrażenie bliźniaczki „Niezwykłych przygód Anatola stukniętego na początku", przy trzecim rozdziale staje się strawna, a po przeczytaniu dalszych uznałam ją nawet w swych entuzjastycznych latach za kultową.

Książka, na szczęście, nie człowiek. Nie zaprotestuje, gdy ją rzucimy w kąt i włączymy telewizor albo udamy się na spacer. Ale sumienie mutanta tak łatwo nie odpuści. Sumienie przeczuwa wielkość książki i nie chce pozwolić, żeby nasz duch nie dostąpił dobrodziejstwa wzbogacenia się o nią. Ja mu na to, że mój duch nie dąży do doskonałości, tylko do harmonii. I że w ogóle taka dyskusja nie przystoi kobiecie, przez to jego śrubowanie poziomu wszyscy faceci ode mnie uciekają. Ale ono ma to gdzieś i gryzie mnie tak długo, aż w trzech przypadkach na cztery podnoszę w końcu tę książkę z podłogi i doczytuję. Na szczęście pozostaje mi jeszcze to błogie 25%, kiedy kopię swoje przeintelektualizowane sumienie w tylną część ciała i idę sobie na spacer, a jeśli pogoda nie sprzyja, to może akurat w TV leci „W-11". Dlatego żegnaj mi, Iainie M. Banksie, z radością oddam cię bibliotece i tym razem nawet uniknę płacenia kary. Z wyrazami szacunku –

Mutant

droga do chaosu

Michał Protasiuk

Jaką długość ma wybrzeże Wielkiej Brytanii? Pytanie z pozoru jest oczywiste – by udzielić nań odpowiedź wystarczy zajrzeć do dowolnej encyklopedii. Czy aby jednak na pewno?

Najpierw zastanówmy się, w jaki sposób dokonać pomiaru. Niniejszym pragnę zaproponować metodę najprostszą z możliwych: pomiar własnoręczny (w właściwie własnonożny). Bierzemy delikwenta, wysadzamy go z promu w Dover i prosimy by równym, odmierzonym krokiem obszedł całą wyspę (to eksperyment myślowy, proszę się nie martwić o piechura). Gdy wróci do punktu wystarczy dokonać prostego mnożenia: długość pojedynczego kroku razy ich ilość. Proste? Skomplikujmy zatem sytuację i zamiast człowieka w podróż dookoła wyspy wyślijmy mrówkę. Czy przemierzone drogi będą różne? W pierwszym momencie wydaje się, że nie i każdy z nich pokona taką samą odległość. Czyżby?

W przeciwieństwie do granicy niektórych stanów USA wybrzeże Wielkiej Brytanii nie jest linią prostą, a wije wie nieregularnie. Można wyróżnić w nim powtarzające się systematycznie struktury: półwyspy, zatoki i cyple. Im większego zbliżenia dokonamy, tym ujawni się więcej szczegółów. I tu kryje się sedno zagadki. Spacerując dookoła Wielkiej Brytanii mrówka musi obejść każdy leżący na wybrzeżu kamień, wyminąć każdą wystającą z morza kłodę. Pokonana przez nią droga będzie o wiele dłuższa niż dystans piechura, który podobne przeszkody gładko sforsuje długim krokiem. A gdyby w podróż dookoła wyspy zamiast mrówki wysłać pantofelka?

Długość wybrzeża Wielkiej Brytanii nie jest zatem dobrze określona, jak może się wydawać, a wartość podawana w podręcznikach geografii to jedynie pewne przybliżenie. Mało tego: im pomiar będzie dokładniejszy, im zastosujemy krótszy krok, tym długość będzie rosła do nieskończoności! Dzieje się tak dlatego, że linia brzegowa jest fraktalem[1].

Pojęcie fraktala do nauki wprowadził w 1975 roku Benoit Mandelbrot. Był on matematykiem o iście renesansowym wykształceniu (wykładał ekonomię, inżynierię i fizjologię). Ta wszechstronność zainteresowań nie jest przypadkowa i jeszcze do niej wrócimy. Na razie warto zapamiętać, że fraktal to figura lub bryła, która wygląda tak samo we wszystkich skalach długości. Niezależnie od skali powiększenia widzimy całą strukturę badanego obiektu. Fraktale mają też inną ciekawą właściwość, jaką jest ułamkowy wymiar. Przywykliśmy do tego, że wymiar określany jest liczbą całkowitą: punkt nie ma wymiaru, linia jeden, kwadrat dwa, sześcian trzy. A czy może istnieć figura o wymiarze jeden i trzy czwarte?

Taka figura to właśnie fraktal. Wprowadzona w XX wieku definicja wymiaru jest dość skomplikowana technicznie i nie chciałbym nikogo zanudzać, warto jednak wiedzieć, że wymiar został powiązany z objętością, jaką zajmuje w przestrzeni dana figura. I tak na przykład linia prosta zajmuje niewiele miejsca, ma więc jeden wymiar. Skomplikowana linia krzywa „rozpycha się" nieco bardziej, lecz w przeciwieństwie do kwadratu nie jest domknięta – posiada więc wymiar ułamkowy, pomiędzy jeden a dwa. Warto na marginesie zaznaczyć, że z fraktalami spotykamy się na co dzień, choć nie zawsze zdajemy sobie z tego

[1] Choć nasze rozważania mają charakter teoretyczny, teoria znajduje odbicie w praktyce. Podobno w latach '60 długości wspólnych granic pomiędzy Hiszpanią i Portugalią podawane w encyklopediach poszczególnych sąsiadujących krajów różniły się aż o 20%. Wszystkiemu winne były niezgodności w skali użytej do wykonania pomiaru.

sprawę. Najpopularniejsze fraktale to gąbka łazienkowa i kalafior (oba o wymiarze fraktalnym pomiędzy dwa a trzy).

Fraktal jest pierwszym ważnym krokiem na naszej drodze, która prowadzi do chaosu. Zanim wyjaśnię związki pomiędzy nimi, chciałbym wprowadzić kluczowe dla nauki o chaosie pojęcie atraktora. Nie jest to, jak podpowiada intuicja, przeciwieństwo traktora, a graniczny punkt ewolucji układu. Definicja brzmi może skomplikowania, ale w istocie jest dziecinnie prosta. Weźmy lejek i połóżmy na jego krawędzi stalową kulkę. Nikt nie ma wątpliwości, że kulka stoczy się do środka lejka, niezależnie od początkowego usytuowania kulki. Tenże punkt jest właśnie atraktorem układu złożonego z lejka i kulki. Warunki początkowe są nieistotne, kulka zawsze stoczy się do lejka.

To przypadek najprostszy. W innych sytuacjach układ może posiadać kilka atraktorów (w zależności od warunków początkowych). Są jednak przypadki gdy atraktor posiada bardzo skomplikowany kształt, a układ startujący z dwóch, nieznacznie się różniących punktów, zakończy ewolucję w diametralnie różnym stanie. Takie atraktory nazywa się dziwnymi, a układy przez nie opisywane są układami chaotycznymi.

Dziwny atraktor ma naturę fraktalną. Im będziemy oglądać go w większym zbliżeniu, tym będzie odkrywał on przed nami coraz większą złożoność. Jest to pochodna wrażliwości na warunki początkowe. Jedynie nieskończenie dokładne „wyregulowanie" warunków początkowych może zapewnić nas o niezmienności zachowania się układu.

Popularnym przykładem układu chaotycznego jest sześcienna kostka do gry. Wynik rzutu kostką jest wypadkową wielu czynników: wartości i kierunku przyłożonej przez nas siły, początkowego usytuowania kostki w zagłębieniach dłoni, właściwości podłoża, po którym przyjdzie się jej toczyć itd. Czynników jest tak wiele, że nigdy nie jesteśmy w stanie odtworzyć i wykonać dwa identyczne rzuty. Musielibyśmy bowiem zapewnić identyczne warunki początkowe, co oczywiście nie jest możliwe. Minimalna zmiana wartości warunków początkowych prowadzi do diametralnie różnego końca. I choć teoretycznie wynik rzutu kostką jest determinantą wymienionych wyżej czynników, w praktyce zjawisko to musimy nazwać przypadkowym. Najbardziej znanym przykładem nawarstwiania się drobnych zmian jest tzw. „efekt motyla". Wyobraźmy sobie motyla, który wzbija się w powietrze, gdzieś w Afryce. Uderzając skrzydłami wprowadza drobne zaburzenie w atmosferze. Zaburzenie narasta z czasem i po kilku dniach powoduje huragan na drugiej półkuli. Nikt, oczywiście, nie jest w stanie zbudować pomiędzy motylem a huraganem łańcucha przyczynowo-skutkowego, ale jedno jest pewne. Gdyby nie motyl, huraganu by nie było.

Kostka do gry jest układem chaotycznym, lecz jest to chaos niemożliwy do ogarnięcia i opisania. Takim chaosem nie będziemy się, niestety, zajmować. O wiele ciekawszy jest chaos deterministyczny, gdzie pozornie skomplikowane zachowanie jest w istocie tłumaczone przez kilka prostych praw.

Jedna z definicji nazywa chaos deterministyczny porządkiem bez okresowości. Wydaje mi się, że to bardzo trafne podsumowanie. Skomplikowane układy są generowane przez zestaw prostych reguł. Czasami zależność przebiega też w drugą stronę i proste systemy

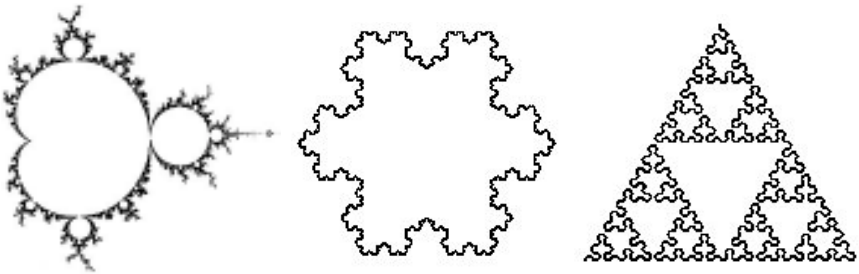

wykazują skomplikowane zachowanie. W obu z tych przypadków mamy do czynienia z chaosem deterministycznym.

Rewolucja w nauce związana z chaosem deterministycznym nastąpiła w drugiej połowie XX wieku i związana jest z nazwiskami uczonych takimi jak Lorenz i Feigenbaum. Do tej pory klasycznie wykształceni badacze rozkładali bezradnie ręce, gdy konfrontowali wypracowane w pocie czoła teorie ze zjawiskami takimi jak: wzburzone morze, fluktuacje gatunków dzikich zwierząt, oscylacje w sercu czy nieoczekiwane zachowania inwestorów giełdowych. Tymczasem teoria chaosu gromadzi te wszystkie problemy pod swoim pojemnym parasolem (w tym miejscu radzę wspomnieć wszechstronne wykształcenie Madelbrota). Warto też przypomnieć tutaj nagrodzone nagrodą Zajdla opowiadanie Konrada T. Lewandowskiego „Noteka 2015", gdzie okazało się, że chaos znany jest również polskim wojskowym i z powodzeniem można go wykorzystywać do zarządzanie ruchami armii podczas konfliktu ze Stanami Zjednoczonymi.

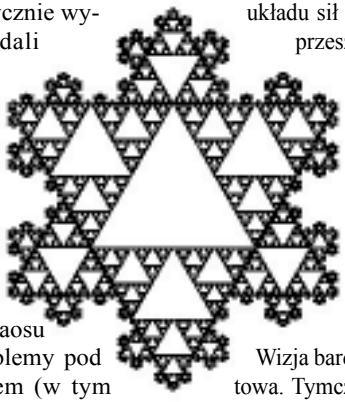

Innym działem nauki, gdzie z powodzeniem zastosowano chaos była medycyna. Do lat '60 ubiegłego stulecia w Wielkiej Brytanii nie potrafiono poradzić sobie z problemem zachorowań na dolegliwości wieku dziecięcego: odrę i ospę wietrzną. Epidemie obu chorób wybuchały i znikały niespodziewanie. Wydawało się, że jest proces losowy i podobnie jak rzut kostką zależy od zbyt wielu czynników, by dało się go opisać. Tymczasem okazało się, że rzeczywistość jest o wiele prostsza. Epidemiolog William Schaffer stworzył model, w którym założył, że przyczyną epidemii są infekcje wśród dzieci powracających po wakacjach po szkole, a czynnikiem tłumiącym naturalna odporność. Okazało się wówczas, że zachorowalność podąża po dziwnym atraktorze, którego wymiar fraktalny wynosi ok. 2,5.

Teoria chaosu zainteresowała również filozofów i teologów. Pierwsi ponownie zaczęli rozważać problem wolnej woli. Do tej pory wciąż łamano sobie głowę nad paradoksem demona Laplacea, zwanym tak od nazwiska francuskiego matematyka, Simona Laplacea. Rzeczony demon jest stworem, który na podstawie układu sił w danym momencie odczytuje przeszłość i przyszłość. Jest w stanie to zrobić, gdyż każde zjawisko można opisać w kategoriach fizycznych, a fizyka jest doskonale deterministyczna. Takie ujęcie problemu sprowadza nas do bezwolnych marionetek – każdy nasz ruch, każda myśl i słowo, jest już dawno zapisane i może zostać odczytane ze stanu obecnego. Wizja bardzo niepokojąca i mało komfortowa. Tymczasem teoria chaosu wykazuje, że nie jest to wcale takie proste, gdyż nierzadko trzeba określić warunki początkowe z nieskończoną dokładnością, a najmniejsze nawet różnice kumulują się w tempie wykładniczym i prowadzą do zupełnie różnych stanów końcowych.

Teolodzy w teorii chaosu znaleźli klucz do problemu boskich interwencji. Ponieważ Bóg aktywnie ingeruje w świat, a my nie nigdy nie potrafimy „złapać Go za rękę", Stwórca musi to robić w bardziej dyskretny sposób. Jedynym rozwiązaniem tej zagadki jest założenie, że Bóg ingeruje poprzez infitezymalne (nieskończenie małe) zmiany warunków początkowych. A ponieważ Bóg to doskonały matematyk, bez problemu jest w stanie obliczyć konsekwencje skumulowanych zmian. W takiej sytuacji aparatura naukowa nigdy nie zarejestruje cudu, ale jednocześnie można mieć nadzieję, że wznoszone modlitwy nie pozostają bez odzewu.

I tu kończy się nasza droga do chaosu. Zaczynając od wędrówki dookoła Wielkiej Brytanii, dotarliśmy do problemu wolnej woli i boskiej interwencji. Taka jest bowiem teoria chaosu. Potężna, interdyscyplinarna dziedzina, obejmująca swoim zasięgiem niemal każdy aspekt życia. Chaos jest wszędzie dookoła nas, musimy tylko nauczyć się go rozpoznawać.

Metaficon

Czas jak czasem

Tomasz B. zwany Koniem

W tym numerze Innych Planet Metaficon powraca, ale w innym niż zwykle ujęciu. Eksperymentalnie, zamiast zwykłych osobistych rozważań i dywagacji na tematy mniej lub bardziej filozoficzne, przeczytacie dziś streszczenie z kilku książek do filozofii, coś w rodzaju bryku dla studentów, który można by znaleźć w Internecie, lub artykułu popularyzującego naukę z jednego z czasopism popularno-naukowych. Inny czas, inne podejście, Inne Planety.

Czas... Czas jest zabawną rzeczą. Istnieje w ludowych powiedzeniach (np. „Czas leczy rany"), w teoriach naukowych, które usiłują wyjaśnić jego fenomen i w świadomości ludzi, kiedy w końcu zdadzą sobie sprawę z faktu, że są śmiertelni – każdy w końcu musi jakoś zmierzyć się z tym abstrakcyjnym pojęciem i stawić mu czoła. Nic dziwnego, że to filozofowie, jako ci, którzy usiłują pojąć naturę wszechrzeczy i zrozumieć świat jako całość, pierwsi zajęli się tym problemem i próbowali dojść z nim do ładu.

Starożytni Grecy, których jako pierwszych nazywamy filozofami („miłującymi mądrość"), od początku łączyli intuicyjnie czas z ruchem. Jednak pojęcie to zostało opracowane krytycznie dopiero po jego zanegowaniu przez eleatów – grupę filozofów z Elei. Parmenides, ojciec grupy, znany głównie z tego, że zaprzeczał istnieniu ruchu w świecie, utrzymywał również, że byt jest ściągnięty do bezczasowego momentu. Jest wieczną teraźniejszością bez początku i końca – „nie był kiedyś ni będzie, gdyż teraz jest razem wszystek". Melissos, który próbował usystematyzować myśli mistrza, zmienił trochę jego wymowę twierdząc, że byt to coś co „...zawsze istniało (...) i zawsze będzie istnieć". Przysłówek „zawsze" w tym ujęciu pozbawia czasowniki, którym towarzyszy ich znaczenia chronologicznego. Jednak Eleaci, którzy negując wszelką formę ruchu, musieli z konieczności zanegować także czas, byli wyjątkiem wśród starożytnych.

Dla Demokryta, twórcy atomizmu, czas był wieczny. Filozof ten starał się wykazać, iż niemożliwe jest, by wszystkie rzeczy miały początek, i dlatego właśnie czas nie jest stworzony. Atomy były wieczne i z samej swej natury znajdowały się w ciągłym ruchu, a więc i czas był wieczny, przez wspomniany związek ruchu z czasem. Co ciekawe, atomów według Demokryta miało być nieskończenie wiele, zatem nieskończenie wiele miało też być światów, które powstają, rozwijają się i giną w niekończącym się cyklu.

Jednak pierwszy naprawdę dokładny wywód na temat czasu i uzasadnienie jego roli we Wszechświecie znajdujemy u Platona, pierwszego myśliciela który ogłosił spójną teorię wszystkiego. Platon definiuje czas jako „ruchomy obraz wieczności", czyli jako rozwinięcie „jest" na „było" i „będzie", a dokładniej jako „wieczny obraz, który postępuje według liczby". Czas razem z całym światem stworzony został przez Demiurga, który wzorował się na najdoskonalszym modelu zawartym w wiecznych ideach. „Czas zrodził się jednocześnie z niebem, aby, zrodzone razem, razem także się rozpadły, gdyby kiedyś miały się rozpaść."

Arystoteles, kolejny z wielkich mężów starożytnych, ujmował czas w ścisłym powiązaniu z ruchem i miarą i sformułował znaną definicję, według której „czas jest ilością ruchu ze względu na „przed" i „po"". Ponieważ czas uważał on za miarę ruchu, a sam ruch za wieczny, zatem i czas był według niego wieczny. Pogłębiając pojęcie miary, Arystoteles doszedł również do innego ważnego wniosku, że ponieważ tylko intelekt i dusza mogą liczyć, zatem „czas nie może istnieć bez duszy", co było wyprzedzeniem i zapowiedzią myśli św. Augustyna.

Czas był strukturalnie łączony z ruchem również w wielkich szkołach hellenistycznych

– m.in. u stoików. Czas był dla nich „wymiarem ruchu", lub, jak precyzował Chryzyp, „odległością ruchu kosmosu" i jako taki był jednym z tzw. „niecielesnych" pojęć, obok „miejsca" czy „próżni".

W zupełnie nowy sposób pojęcie czasu zostało ujęte w neoplatonizmie. Według Plotyna wieczność jest życiem bez zmiany, życiem, które jest obecne całe jednocześnie. Jednia i Umysł – następujące po sobie formy bytu – żyją życiem wiecznym w bezczasie. Z Umysłu wyłania się dalej Dusza, która, dzięki swego rodzaju „zuchwałości" i „pragnieniu przynależenia do siebie samej", opuszcza Umysł i rozprzestrzenia się w „przedłużenie i szereg następujących po sobie działań". Stwarza w ten sposób świat materialny, ale też jednocześnie przemienia i umieszcza w ciągu „przedtem" i „potem" to, co było kiedyś „razem" i „równocześnie". I tak Dusza uczasawia samą siebie, a więc i swój wytwór. Świat jest strukturalnie w czasie, tak samo jak jest w Duszy i dzięki Duszy. Przy czym dodać trzeba, że Plotyn nie rozumiał pod pojęciem Duszy tego, co my obecnie, ale miał na myśli jedyną duszę/serce świata, w której zawarte są wszystkie dusze jednostkowe.

Kolejnym po Plotynie wielkim myślicielem, który poruszał w rozważaniach problem czasu był św. Augustyn, żyjący na przełomie starożytności i średniowiecza. Jego rozważania nad czasem były tak oryginalne i głębokie, że stanowią po dziś dzień przedmiot podziwu ze strony nie tylko filozofów, ale i fizyków. Jak większość myślicieli średniowiecznych, Augustyn nie zastanawia się czy Bóg istnieje, ale traktuje to jako fakt objawiony, podobnie jak wszystko co zostało przekazane w świętych pismach. Rozważania swe snuje również odnosząc je do pism objawionych. Podobnie jak Platon, św. Augustyn uważa, że czas został stworzony przez Boga wraz ze stworzeniem świata materialnego i jest jego znaczącą cechą, w odróżnieniu od rzeczywistości boskiej, której istotną cechą jest wieczność. Według niego nie można zastanawiać się nawet co było i co robił Bóg przed stworzeniem świata, gdyż nie było żadnego „przed". Nie było w ogóle czasu, gdyż czas dotyczy wyłącznie świata, a Bóg jest poza czasem. Św. Augustyn, interpretując Księgę Rodzaju, twierdzi również, że Bóg nie stworzył świata w dosłowne 7 dni, lecz stworzył go w jednym momencie i w dodatku stworzył w tym momencie nie tylko świat – teraźniejszość, ale i całą przyszłość. Bóg, jako byt istniejący poza czasem, stworzył wszystko naraz i widzi też wszystko naraz – przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Ludzie pojmują po prostu świat inaczej niż Bóg – dla nas świat i nasze życie rozwijają się i biegną tak jak film – klatka po klatce, a Bóg według św. Augustyna widzi świat jako pewien obraz, cały na raz – wszystkie szpule tego filmu, łącznie z tym co już się dla nas zdarzyło i co ma dla nas dopiero nastąpić.

Była to, jak na owe czasy, iście rewolucyjna koncepcja, która jednak powodowała kolejne pytania. Bo jeśli Bóg widzi przyszłość świata, to jak to się ma do naszej rzekomo wolnej woli? Czy nie jest tak, że wszystkie wydarzenia są już zdeterminowane, a nam się tylko wydaje, że mamy jakąś możliwość wyboru? Św. Augustyn odpowiada, że to, że Bóg widzi przyszłość, nie znaczy bynajmniej, że tę przyszłość determinuje. To my podejmujemy decyzje, którą drogą pójdziemy, a Bóg jedynie wie, co wybierzemy. My istniejemy w

czasie, a Bóg widzi całość czasu i wie, co człowiek wybierze, bo istnieje poza czasem. Bóg stwarzając świat i czas nie tylko nie ogranicza nas i nie determinuje, ale stwarza w ogóle możliwość podjęcia przez nas wyboru.

Mówiąc o samym czasie, św. Augustyn porównuje go do rzeki – nie można go podzielić na odcinki i nie można wskazać momentu, w którym przyszłość staje się teraźniejszością. Ale czy wobec tego czas w ogóle istnieje? Czy nie jest tylko kategorią ludzkiego umysłu? Św. Augustyn odpowiada na to, że tak naprawdę mamy pewność tylko tego, że myślimy. Nie wiemy nic poza tym – nie wiemy, czy poruszamy się, czy nie, czy jesteśmy prości, czy złożeni, czy nasze ciało istnieje... Jedyną pewną rzeczą jest nasze myślenie i na tym fundamencie musimy uzyskać pewność istnienia Boga, istnienia nieśmiertelnej duszy i ewentualnie rozstrzygnąć kwestię czasu. Rozstrzygnięcia św. Augustyna były na tyle przekonujące i rewolucyjne, że nadały ton dyskusji o czasie na wiele następnych wieków i miały wielkie znaczenie dla wszystkich kolejnych myślicieli.

Dla przykładu inny średniowieczny filozof, Mistrz Eckhart, traktował relację Boga do czasu bardzo podobnie, twierdząc, że Bóg w swoim pierwszym wiekuistym spojrzeniu zobaczył wszystko co jest i co ma się stać. W ten sposób modlitwy wiernych nie docierają do Boga w chwili ich wymówienia, lecz Bóg przyjął w tym swoim pierwszym spojrzeniu wszystkie modlitwy, które kiedykolwiek będą mieć miejsce na świecie. Tu znów podobnie do św. Augustyna, to, że Bóg ogarnął wszystko z innej perspektywy, nie oznacza, że całkowicie zdeterminował ten świat, lecz to, że świat istnieje po prostu na innym poziomie egzystencji.

W średniowieczu pojawiła się również inna koncepcja dotycząca czasu, która do dziś jest uznawana przez przeciętnego człowieka wierzącego, a która jest przypisywana św. Tomaszowi z Akwinu. Zakłada ona, że czas jest nieskończony, ale trwanie czasowe świata jest skończone. Zgodnie z nią był taki czas, kiedy nie było świata, oraz będzie czas, kiedy tego świata nie będzie.

Kolejną nowość do rozważań nad czasem wprowadził dopiero w XVII w. sir Isaac Newton. Stworzył on słynną koncepcję absolutnego czasu i absolutnej przestrzeni. Zgodnie z nią czas i przestrzeń istnieją niezależnie od czegokolwiek, a zatem są bytami samoistnymi. Czas absolutny miał być niezależny od postrzegania człowieka, materii, ruchu itp., a absolutna przestrzeń również miała mieć wszędzie te same własności – wieczna i nieruchoma. Doprowadziło to Newtona do wniosku, że w świecie istnieją trzy w zasadzie niezależne od siebie byty – materia, absolutny czas i absolutna przestrzeń. Newtonowski absolutny czas płynie zawsze jednakowo szybko i jego jednostajność jest jego podstawowym atrybutem. Uczony przyrównywał obrazowo czas do potoku, którego biegu nic nie zamąca i który płynie zawsze i wszędzie z taką samą prędkością. Takie rozumienie czasu obaliła dopiero teoria względności w XX w.

Zupełnie inaczej do kwestii czasu podszedł w XVIII w. Immanuel Kant. Według niego czas i przestrzeń były absolutne – w tym sensie, że stanowiły pewne struktury niezmienne, aprioryczne czy wrodzone, ale miały też być nie obiektywne, lecz subiektywne. Kant uważał, że zarówno przestrzeń jak i czas są pewnymi schematami porządkującymi, które nakładamy na zjawiska w trakcie ich poznawania. „Absolutne" według niego nie znaczy zatem, jak u Newtona, niezależne od czegokolwiek, lecz niezmienne, niezależne od doświadczenia. Kant twierdził, że to nie my istniejemy w czasie i przestrzeni, lecz że czas i przestrzeń istnieją w nas, są nam wrodzone. Czas i przestrzeń nie są zatem charakterystykami świata obiektywnego, lecz strukturami i narzędziami naszych zmysłów, które pomagają nam klasyfikować zjawiska.

Po raz pierwszy „właściwą" charakterystykę czasu, jeśli za „właściwą" uważamy tę obowiązującą obecnie, podał w XIX w. Fryderyk Engels. Jako monista materialistyczny Engels odrzucił wszystkie koncepcje zakładające wielość bytów, w tym koncepcję absolutnego czasu i przestrzeni Newtona. Moniści zakładali, choć nie potrafili jeszcze tego udowodnić, że istnieje tylko jeden byt samoistny

– materia, i że nie istnieją inne byty niezależne od niej. Czas i przestrzeń są według Engelsa jedynie formami istnienia materii, jej uniwersalnymi charakterystykami i atrybutami.

Tezę tę potwierdził na początku XX w. Albert Einstein, publikując Szczególną i Ogólną Teorię Względności. Pusty czas, tzn. czas bez materii, nie może istnieć, gdyż byłoby to sprzeczne z prawami fizycznymi. Czas i przestrzeń nie są pojemnikami, które mogłyby być puste, lecz są pewnymi cechami ciał fizycznych i relacjami między nimi. Według Ogólnej Teorii Względności własności metryczne czasu i przestrzeni są wyznaczane przez pole grawitacyjne, które jest rodzajem materii. Wszędzie zatem gdzie mamy czas i przestrzeń musi też być grawitacja, a więc wszędzie jest też materia w postaci pola grawitacyjnego. Teorie Względności obalają również dogmat Newtona o absolutności czasu i przestrzeni dowodząc, że zarówno czas, jak i przestrzeń są względne, tzn. mogą się zmieniać pod wpływem ruchu i rozkładu materii. Co ciekawe, efekt relatywistyczny dla czasu polega tylko i wyłącznie na spowolnieniu czasu, a nigdy na jego przyspieszeniu. Według STW tempo upływu czasu w danym ciele zależy od prędkości, z jaką to ciało się porusza – im ciało porusza się szybciej, tym czas w nim płynie wolniej. Dla obiektu, który porusza się z prędkością światła, czas w ogóle nie płynie, dlatego, jak powiadał Einstein, „światło się nie starzeje". Według OTW natomiast czas jest zakrzywiany, tzn. spowolniany, w pobliżu wielkich mas, tzn. wszystkie procesy przebiegają w ich pobliżu wolniej niż z dala od nich. Można to sprawdzić nawet w warunkach ziemskich za pomocą tzw. efektu Mössbauera: dwa zsynchronizowane zegary przestają być zsynchronizowane, gdy jeden z nich umieścimy wyżej, a drugi niżej. Zegar bliższy powierzchni Ziemi, jako znajdujący się w silniejszym polu grawitacyjnym, gdzie czas jest spowolniony, będzie chodził wolniej niż zegar umieszczony dalej od Ziemi.

Spowolnienie czasu jest efektem, który rodzi szereg paradoksów. W znanym paradoksie bliźniąt, jedno z dwojga bliźniąt, które wyruszyło w podróż kosmiczną, na skutek przyspieszenia jakiego doznało, wróci na Ziemię jako młodsze od swojego brata, ponieważ podczas podróży jego czas będzie płynął wolniej – będzie się wolniej starzeć. Innym ciekawym skutkiem efektu spowolnienia czasu jest możliwość odpowiedzi na pytanie, czy możliwe są podróże w czasie. Według stanu wiedzy współczesnej fizyki, podróże w czasie są możliwe, jednak tylko w przyszłość, bo możliwe jest tylko spowolnienie czasu. Co do podróży w przeszłość, fizyka nie odkryła wprawdzie żadnego prawa zabraniającego ich, jednak podróżowanie w przeszłość prowadziłoby również do paradoksów, takich jak np. paradoks własnej babki, którą można by przypadkowo zabić w przeszłości i to zanim zdąży powić pierwsze dziecko. Skąd wtedy wzięłaby się osoba, która zabija?

Einstein zastanawiał się również nad problemem nieskończoności i nieograniczoności czasu. Mówimy, że czas jest nieskończony, jeśli składa się z nieskończonej ilości jednostek czasu. Jest natomiast nieograniczony, jeżeli żaden jego moment nie jest topologicznie wyróżniony, tzn. nie ma momentów brzegowych, granicznych. Można zatem wyobrazić sobie czas nieograniczony i nieskończony, ale również taki, który byłby nieograniczony, ale skończony – gdyby na przykład po upływie pewnego czasu czas zaczął płynąć od początku, kręcąc się jak koło.

Einstein sądził, że Wszechświat jest wieczny, tzn. odwieczny i dowieczny – nie miał początku, ani nie będzie miał końca. Innymi słowy twierdził, że czas jest nieograniczony.

Dowodem na to miało być funkcjonowanie uniwersalnych praw zachowania masy, energii, pędu itp. Z praw tych wynika, że ilość materii i ruchu jest zawsze stała we Wszechświecie i jeśli te prawa są powszechnie obowiązujące, to Wszechświat musi być wieczny. Najnowsze badania fizyczne zaprzeczają jednak rozumowaniu Einsteina i dowodzą, że na podstawie jego rozumowania nie można jednoznacznie wysnuwać takich wniosków. Według obecnego stanu nauki, który jednak – jak wiemy – nie jest stały i może się zmienić w przyszłości, oba te problemy, tzn. problem nieskończoności i nieograniczoności czasu, pozostają nierozstrzygnięte.

Ciekawy dodatek do rozważań o czasie przyniosła teoria Wielkiego Wybuchu. Według tej teorii, która została już potwierdzona doświadczalnie, Wszechświat jest tworem dynamicznym, który rozszerza się nieustannie, a początek tego rozszerzania miał miejsce ok. 13,7 mld lat temu. Początkowo cała materia Wszechświata, wszystkie galaktyki, były skupione w jednym punkcie i tworzyły pewną osobliwość kosmologiczną. Panowała w niej nieskończenie wysoka temperatura, ciśnienie i gęstość materii, a czas był prawdopodobnie równy zero. Teoria Wielkiego Wybuchu nie odpowiada na pytanie, jaka była przyczyna tego wybuchu i co było wcześniej (jeśli w ogóle coś było i jeśli w ogóle można mówić o „wcześniej") – nie wiemy, czy Wielski Wybuch był absolutnym początkiem Wszechświata, czy tylko względnym początkiem kolejnego stadium ewolucji Wszechświata.

Istnieją różne koncepcje na temat tego, co mogło dziać się „przed" Wielkim Wybuchem – jedną z bardziej interesujących jest koncepcja Wszechświata „bez brzegów" Hawkinga-Hartlego. Według tego modelu, czas Wszechświata jest nieograniczony, lecz skończony. Gdyby przeprowadzić w myśli eksperyment i cofać się w wyobraźni w czasie do pierwszych ułamków sekundy po Wielkim Wybuchu i jeszcze dalej, czas miałby zatracać swój kierunek (strzałkę czasu) tak, że niemożliwe stawałoby się odróżnienie czasu od przestrzeni – czas miałby „gubić" swój początek. Cofanie się w myśli do Wielkiego Wybuchu przyrównuje Hawking do osiągania przez polarnika bieguna południowego, kiedy to jego kroki skierowane na południe „niepostrzeżenie" przechodzą w kroki skierowane w przeciwną stronę.

Czas jest fascynującym zagadnieniem – można by sporo o nim pisać i zastanawiać się, czy teorie współcześnie uznane za prawdziwe, będą takie również za kilkaset lat. Jednak to, co jest najbardziej poruszające w całym tym gadaniu o czasie, to odniesienie go do siebie i uświadomienie sobie faktu, że czas nieustannie płynie i to w dodatku tylko w jednym kierunku. Co powoduje, że jeśli ktoś ma np. 20 lat, to znaczy, że już nigdy nie będzie miał 18 lat, a gdy ktoś ma 25, to nigdy już nie będzie dwudziestolatkiem. A co mają powiedzieć 30-latkowie? A 50-latkowie??? Z faktem nieodwracalności upływu czasu wiąże się uświadomienie sobie własnej śmiertelności – tego, że z każdym dniem coraz bliżej jesteśmy Końca. Ale z tym faktem musi się już każdy indywidualnie pogodzić i wszelkie podobne rozważania to już temat na zupełnie inny artykuł, który zapewne jednak nie powstanie z powodu braku czasu.

P.S. Z racji lenistwa autora część powyższych zdań jest wziętych (czyt. przepisanych) dosłownie z książek podanych jako bibliografia i to w dodatku bez cudzysłowów i przypisów(!). Dla kogoś, kto mógłby kwestionować taką formę pisania (twórczości?), wyjaśnienie, że w takim przypadku wartość dodana artykułu polega na odpowiednim zestawieniu różnych fragmentów i podaniu ich Czytelnikowi na przysłowiowym talerzu, co oszczędza mu mnóstwo czasu i wysiłku. Buźka, cześć i czołem!

Bibliografia:
Giovanni Reale, „Historia filozofii starożytnej", t. 1-5, Wydawnictwo KUL, Lublin 2002
Jan Such, Małgorzata Szcześniak, „Ontologia przyrodnicza", Wydawnictwo Naukowe Instytutu Filozofii UAM, Poznań 2001
Jan Such, Małgorzata Szcześniak, Antoni Szczuciński, „Filozofia kosmologii", Wydawnictwo Naukowe Instytutu Filozofii UAM, Poznań 2000

Biblioteka

(Scenariusz do spektaklu „Bibloteka" Teatru U Przyjaciół - premiera 14 października 2005)

Apokryf Biblioteki spisała Marta Zapędowska

Na pierwsze ślady świata Biblioteki natknąłem się już jako młodzieniec. Od najmłodszych lat zafascynowany niewidzialnym i niezbadanym, szukałem odpowiedzi u rozmaitych magików i hochsztaplerów, oszustów i cyrkowców, ufając, że - sami tego nieświadomi - są wyrazicielami wiedzy, której nie mają. Cyniczne oszustwo było dla mnie formą skrywającą głęboką prawdę świata. I tak trafiłem na seans spirytystyczny niejakiej Madame o trudnym do wymówienia francuskim nazwisku; podobno naprawdę nazywała się Skórzanka czy Fornalówna, a jej ojciec był miejscowym wędliniarzem. Madame utrzymywała się z wywoływania duchów, na wieczorkach u niej gromadziły się starsze damy, w niedzielę gorliwe parafianki, w sobotę zaś czcicielki tarota i szklanej kuli. Do udziału w wieczorze zachęcił mnie znajomy, Feliks van Raalte, kiepski malarz, który po wizycie u Madame doświadczył nagłego porażenia wyobraźni i zamiast kolejnego olejnego landszaftu zrobił rysunek piórkiem. Były na nim księgi-hybrydy, jedna z pazurami, druga z syrenim ogonem, trzecia o psim pysku. Narysował księgę pełzającą, ze smoczym ogonem i zębami wilka. Narysował księgę ryjącą w ziemi jak świnia, biczowaną przez dwóch pachołków o natchnionych twarzach. Narysował księgę szarpiącą pazurami wielkiego szczura. Narysował księgę z bosymi nogami, spadającą z chmur do morza. Narysował księgę o kobiecych oczach i żabim tułowiu, wygiętą w łuk nad nożem. Potem narysował pająka, któremu dał własną twarz. Postanowiłem koniecznie odwiedzić inspirującą oszustkę. Wmówiłem Madame, że jestem medium i że jawi mi się zmarła narzeczona – jako sentymentalny głupiec niezwykle podobałem się starszym paniom. Na jednym z wieczorów udawałem, że widzę ducha, tak jak udaje się miłość, żeby jej doświadczyć. Przewracając oczami zacząłem mówić niby to głosem zmarłej, aż w pewnej chwili zauważyłem, że już nie udaję i że z moich ust płynie historia, której nie wymyśliłem. Brzmiała tak:

Cavallero Ruiz Fernandez de Santa Lucia, uszlachcony chłop, czytał dekrety królewskie ruszając wargami. Kiedy sunął palcem po stronicy, trafił na zgrubienie karty. Zdrapał to zgrubienie paznokciem, zrobił dziurę w pergaminie i ujrzał przez dziurę świat, którego nie znał. W półmroku dostrzegł księgi ustawione w szeregach, wszedł w korytarz między nimi i podążał w stronę ciemności. Znaleziono go dwa dni później w kącie sypialni; miał lśniące oczy i ciało pokryte wstrętnymi plamami. Twierdził, że jest mapą Biblioteki ... – przy tych słowach straciłem przytomność. Cała sprawa tak przeraziła starsze damy, przyzwyczajone przecież do innej konwencji zaświatowych tajemnic, że Madame w trosce o dobro swojego interesu zabroniła mi kolejnych wizyt.

Nie byłem nigdy gorliwym czytelnikiem, a w bibliotekach bywałem tylko wtedy, kiedy chciałem odpocząć od letnich upałów. Od tej chwili jednak zacząłem przesiadywać w czytelni, szukając na chybił trafił śladów Biblioteki. Wkrótce odwiedzałem wszystkie miejsca, w których były książki, udając się w tym celu nawet za granicę. W antykwariacie przy Piazza della Testa Perduta znalazłem księgę rachunkową pewnego opactwa, a tam niepokojący apokryf o Dionizym Kartuzie:

„Błogosławiony Dionizy Kartuz, doctor extaticus, posiliwszy się zgniłym śledziem i garścią robaczywych wiśni, zasnął tak nagle, jakby ścięto mu głowę, i miał sen. Siedział oto u wrót do

miasta, a przed nim kłębił się tłum jak na jarmarku. On zaś chwytał kolejne głowy i wciągał za bramę ze słowami: „Jesteś cieślą, to dobrze", „jesteś piekarzem, to dobrze", „jesteś matką, to dobrze". Wtem ujrzał przed sobą łysawą czaszkę i wychudłą twarz. Nieznajomy rzekł Dionizemu: „Dobry człowieku, zawołajcie stajennego, żeby się zajął moim rumakiem. A gościom powiedzcie, by pili na mój koszt, niech wiedzą, że wróciłem". Wtedy Dionizy ujrzał się w stroju karczmarza, ujrzał się, jak wyciera ręce w fartuch i z przymilnym uśmiechem kłania się przybyszowi. Przerażony wzniósł oczy do nieba i dostrzegł na bramie napis: LA MANCHA. Ocknął się na dźwięk własnych słów: „Ta siła nie od Boga pochodzi".

Autor zamieścił poniżej zapis własnej wizji, godnej palacza opium. Skopiowałem również ten fragment, bo wydał mi się niezwykły jak na owe czasy. Oto on:

„Przepisywałem szczególnie piękny fragment dzieła *De venustate mundi et pulchritudine Dei*, kiedy wzrok mój wplątał się w haki liter niczym włosy w ciernie i żadną miarą nie mogłem głowy unieść znad księgi. Zdało mi się wówczas, że owe litery to ciała strasznie poskręcane, półnagie, a wśród nich uwijały się muchy i zakonnice w bieli. A kiedy przyjrzałem się zakonnicom, dojrzałem, że to czerwie, a kiedy przyjrzałem się muchom, dojrzałem, że to jagody. A kiedy przyjrzałem się czerwiom, dojrzałem, że to poruszany oddechem brzuch kobiety, a kiedy przyjrzałem się jagodom, dojrzałem, że to kuliste krople krwi, a kiedy przyjrzałem się kobiecemu brzuchowi, dojrzałem że to biały wieloryb, rozwierający straszliwą gardziel, a krople krwi zatańczyły mi przed oczyma i padłem w otchłań bez dna. Wzdrygnąłem się i zobaczyłem, że na środku rozpoczętej dopiero stronicy zrobiłem ogromnego kleksa. Zawstydziłem się jak uczniak. Zdrapanie go z karty zabrało mi kilka godzin." Po tych słowach następował ciąg cyfr, wydatków na mąkę, samodział i inne niezbędne opactwu zakupy. Na szczęście zauważyłem następny fragment, napisany tą samą ręką, na wewnętrznej stronie okładki.

„Nariz, z rodu Wertowników Księgi, ujrzał swoje odbicie w szybie szafy z księgami genesis i oślepł. Przemierzał później Bibliotekę i głosił kazania. Wkrótce miał kilku uczniów, krążących wraz z nim po skryptorium z zawiązanymi oczami. Narizowowie zostali uznani za sektę i wypędzeni do przedsionka Biblioteki, gdzie kończy się świat. Zachował się jednak fragment kazania, które spisał Młodszy Grzbietowy zanim go nawrócono za pomocą gwoździ i rzemienia. Tekst ów, pilnie strzeżony przez Głównego Bibliotekarza, brzmi następująco:

Co powiedziałem, powiedziałem, i prawdą jest, co powiedziałem. Gdybym jednak nie dość opisał, jak pachnie pole pszenicy, a jak cegła w upale, a jak koń, a jak mięta, przyjmij, słuchaczu, że wonie te różnią się od siebie tak, jak zapach księgi wilgotnej od zakurzonej, jak zapachy barwników do iluminacji, jak oprawa skórzana od płóciennej, jak dzieło moralne od niemoralnego. Pole pszenicy pachnie jak kurz z miodem, cegła w upale jak krew na posadzce. Koń jak skórzana oprawa księgi leżącej w cieple i wilgoci. Mięta jak czysta karta z domieszką leku na żołądek. Co to jest pole? Co koń? Poznasz ufając węchowi."

Zyskałem pewność, że autor tego fragmentu otarł się o świat, który objawił mi się podczas pamiętnego seansu. Słowa anonimowego mnicha tak podnieciły moją wyobraźnię, że kiedy tej nocy zapadłem w sen, śniłem dziwnie i pięknie, a odczuwałem wszystko silniej niż na jawie. Zdało mi się, że jestem wędrowcem i że dotarłem do miasta Alma. Wszedłem za bramę i wkrótce zobaczyłem kobietę. Była bardzo stara. Pod pachą trzymała zająca, w garści zapaloną świecę, w drugiej pusty talerz malowany w symbole planet. Na jej głowie siedziała sowa. Spojrzałem w górę i zobaczyłem nagiego starca siedzącego na tęczy, z cyrklem i miarą w dłoniach. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem dzikiego męża tnącego siekierą powietrze, a za nim lwa rozszarpującego niedźwiedzicę. Przetarłem oczy i ujrzałem kobietę w niebieskiej sukience, z listkami bobkowymi zatkniętymi za ucho, lirą i łabędziem u stóp. Zadziwiony zaczepiłem grubą, budzącą zaufanie niewiastę, niosącą żywego kraba i oliwki. Ta jednak nie zauważyła mnie, nie zareagowała i nie zmieniła pozycji. Wtedy zrozumiałem, że mieszkańcy tego miasta nie dzia-

łają i nie czują, ale są i znaczą, i to stanowi sens ich bycia. „Szczęśliwi!", zawołałem, „Jakże chciałbym być znakiem jak oni!" Potem położyłem się w cieniu drzewa, okryłem się płaszczem i zasnąłem. Wkrótce drzewo, pod którym leżałem, stało się winoroślą, a płaszcz borsuczym futrem. Pod moimi plecami wyrosły maki, w pobliżu wypiętrzyła się grota i trysnął strumień. Trwając we śnie przytyłem i spoważniałem. Gdy ocknąwszy się rankiem we własnym łóżku, wiedziony przeczuciem, zajrzałem do dzieła Cezara Ripy, okazało się, że spałem esencją snu.

Wtedy po raz pierwszy poczułem strach. Miałem niejasne przekonanie, że padłem ofiarą jakiegoś dziwnego zatrucia wyobraźni, a moje dążenie do odkrycia prawdy o bibliotece jest w istocie drogą ku przepaści. To poczucie pogłębiło się jeszcze, kiedy przeglądając starodruki odnalazłem rysunek, na którym rozpoznałem wyraźnie podobiznę Madame, a z podpisu pod rysunkiem dowiedziałem się, że przedstawia on niejaką królową Isell, która ponoć po wypiciu wywaru z naparstnicy spisała dziwaczną historię o swojej imienniczce, jej mężu i kochanku. Pisała palcem na stole. Zaraz potem zmarła. Jej opowieść pełna była rubasznego humoru, mówiła o nocnych schadzkach, zdradach, ucieczkach i próbach prawdomówności, które niewierna przechodziła lekko dzięki dowcipnym oszustwom. Podanie głosi, że niepiśmienna służąca, zanim starła kurz, zapamiętała część znaków. Rysowała je potem z pamięci na piasku, wypowiadając życzenia. Prawie wszystkie się spełniały.

Zapragnąłem natychmiast spotkać się z Madame, więc czym prędzej wróciłem do ojczyzny, tu jednak spotkał mnie zawód. Dom oszustki stał pusty, pytałem sąsiadów i po długich naleganiach poznałem przyczynę. Podobno wkrótce po moim wypadku podczas seansu ktoś podarował Madame dziennik podróżnika zmarłego kilkadziesiąt lat wcześniej. Ta jednak zwróciła dar po paru dniach, mówiąc: „Nie chcę tej księgi w moim domu". Gdy ją pytano, czemu obraziła ofiarodawcę, odpowiedziała niechętnie: „Spomiędzy wersów świecą oczy tego, kto pisał". Kiedy śmiali się z niej, rzekła jeszcze: „Ta księga ma nie tylko oczy, ale i zęby". Wkrótce wyjechała w podróż i już nie wróciła.

Okazało się też, że przed wyjazdem zostawiła dla mnie list. Podekscytowany i niespokojny czekałem, aż opieszały grubas znajdzie go wśród swoich szpargałów. Myślę, że rzuciłbym się na niego z pięściami, gdyby się okazało, że go zgubił. Kiedy wręczył mi go nareszcie, wybiegłem bez pożegnania i biegłem tak aż do granic dzielnicy, gdzie zasapany przystanąłem w bramie i rozerwałem kopertę. Była w niej jedna tylko stronica, a na niej następujące słowa:

Daina da ai Ra
Sa dido nai ira
Kalvo ba miso Ne
Gan vabo i nessa e
Ba rekto visi lires
Yalla danto baez
Tisi lam

Gab verre ais Sao
Preo na Lella kanao
Aikina sitra tas vi
Lein duana kantri
Aldaina daina ruela
Ner di al Kesta vimela
Istadorion! Istadorion!

Liya bandrato
Melo a ringua astarato

Al ravo kano ebra le
Da aikos inbadei pre
Ringual Ra selverra
Ar alla argo alderra
Unvergo Istadorion.

Ragra mori la istarla
Ai lebba istrel dide va
Dide ringual alva paso
Siyo marvila ebraso
Daina lea drago bae!

Poczułem, że zadrwiono ze mnie. Wskazano mi drzwi, lecz nie dano klucza. Zrozumiałem od razu, że nie jest to żaden ziemski język, choć przypominał nieco języki romańskie. Następne lata upłynęły mi na szaleńczym poszukiwaniu wskazówek, jednak przez bardzo długi czas błądziłem wśród tekstów nic nie znajdując. Wreszcie, już jako stary człowiek, natknąłem się na zapiski starego archiwisty z opactwa De Lilles aux Bois. Wśród wielu nudnych opisów życia codziennego współbraci znalazłem opis dziwnego odkrycia, które najwyraźniej bardzo zaintrygowało starego skrybę. Była to wydarta z księgi karta z modlitwą do świętej Katarzyny. Słowa modlitwy wzbudziły niepokój archiwisty – ślęczał nad kartą dzień i noc, bez jedzenia i bez wody, aż zobaczył to, na co patrzył. Odkrył, że litery podźwignięte z karty dają nieregularny cień, a miejsca niezacienione układają się w tekst staroistadorskiej księgi objawienia. Język istadoryjski obcy jest dla wszystkich i składa się podobno z jednego słowa, które pęka od znaczeń na tysiące form. Resztę życia archiwista spędził tłumacząc ów tekst, lecz do śmierci zdążył przełożyć jedynie dwa słowa brzmiące: „rylec werblem".

Mówiono mi, że ów druk ulotny to kolejne błazeństwo pewnej zapijaczonej grupy poetyckiej, ale nie chciałem wierzyć.

Wykorzystując swoją opinię nieszkodliwego a hojnego wariata dotarłem do owej modlitwy w Lilles aux Bois i korzystając z doświadczenia mego poprzednika, przetłumaczyłem w natchnieniu poemat pozostawiony mi przez Madame. Drodzy czytelnicy! Jeśli boicie się objawienia, nie czytajcie dalej, bo blask Was oślepi. Okruch czystej tajemnicy może nieodwracalnie Was okaleczyć. Jednak – muszę! Życie poświęciłem poznaniu, dowiedzcie się i Wy! W imię Istadorionu – oto przekład poematu.

W Roku Palimpsestu
Pasłem księgi u podnóża schodów
W słabym świetle lampy
Zadrżała podłoga refektarza
Ręka szukała oparcia
Spłoszona księga zafurkotała nad głową
Uderzony oprawą upadłem

Smak kurzu na wargach
Nieustanny trzepot ostrych stronic
Nie nadążałem chwytać
Jedna po drugiej wzlatywały
Księgi, o, księgi drapieżne
Kołujące pod najwyższym sklepieniem
Istadorion! Istadorion!

Czołgaliśmy się drżący
W pierwszym słowie nie znajdując pociechy
Przestaliśmy rozumieć
To, co dotąd przeczuwaliśmy przez księgi
Opuściły nas słowa
Aż pojął Pierwszy Bibliotekarz:
Istadorion jest milczeniem.

Pamiętaj, Biblioteko, sens objawienia
W ciszy mieszkają wszystkie historie
Wszystkie słowa mówią o milczeniu
Tajemnica jest niepodzielna.
Strzeżcie się, aby was nie pożarła księga.

Czy teraz rozumiecie? Na początku był Istadorion. Inne słowa powstały aby objaśnić jego sens. Pierwsze słowo obrastało innymi słowami aż powstała księga. Księga rozrastała się i dzieliła, i tak z niej powstały inne księgi. Wszystkie księgi opowiadają tę samą historię, bo wszystkie powstały dla objaśnienia pierwszego słowa. Najgrubsza z ksiąg mówi to samo, co skrawek karty służący za zakładkę do niej, bo wszystkie historie zawierają się w pierwszym słowie. I tak list miłosny i księga rachunkowa, dzieło historyczne i romans, wiersz i spis inwentarza, każda sprzeczność i każda polemika bierze swój początek z pierwszego słowa i w nim znajduje swój koniec. Nieskończony zbiór różnych postaci Istadorionu nazywa się Biblioteką. Łunę bijąca od księgi nazywa się Bibliotekarzem.

Bibliotekarz to zaledwie odbicie słów, więc w porównaniu z historią w księdze zawartą jest on tworem bezbarwnym, o mglistym początku i nieokreślonym końcu. Brak mu intrygi i brak mu puenty. Nie ma celu sam w sobie, więc jego celem staje się to, co jest samo dla siebie i sobie wystarcza – Biblioteka.

Przekazuję Wam dorobek życia i umieram spokojny. Znacie już prawdę. Teraz spróbujcie ją pojąć.

Daj się przeczytać!

Hotel będący przedsionkiem Piekła

Książki czytające swoich czytelników

Pisarz, dziewczyna i detektyw w śmiertelnej pułapce

W wirtualnym hotelu - domu pracy twórczej - zamordowano pisarza. Okazuje się, że podobny hotel istnieje w świecie rzeczywistym - w Szwajcarii. Młody autor wyrusza, by pomścić śmierć przyjaciela. W tym samym czasie studentka z Polski trafia tam do pracy. Śledztwo w sprawie prowadzi też detektyw, który wcześniej wpadł na trop elektronicznych książek skanujących psychikę czytelników.
Powoli hotel wyjawia swoją mroczną tajemnicę...
Ale czy wszystko da się wyjaśnić?

Hotel "Wieczność" - metafizyczny kryminał i fascynująca podróż do granic literatury!

qwertyuiopasdfghjklzxcvbnmqwertyuio

qwertyuiopasdfghjklzxcvbnmqwertyuiopa

qwertyuiopasdfghjklzxcvbnmqwertyuio

Klub Fantastyki „Druga Era”
ogłasza

V Konkurs Literacki

opowiadania można nadsyłać
do 31 października 2005
szczegóły: kf2era.webd.pl

„Inne Planety” to fanzin **Klubu Fantastyki „Druga Era”** działającego
przy **Akademii Ekonomicznej w Poznaniu**
„Inne Planety” redagują zbiorowo:
Tomasz R. Barczyk, Marcin Bronhard, Piotr Derkacz, Krzysztof Głuch (pozbierał do kupy),
Maciej Guzek, Michał Protasiuk, Paweł Ostrowski,
Maciej Witkowiak, Beata Sobiło, Wojtek Szyda
Stali współpracownicy: Wojciech J. Grygorowicz,
Iwona Michałowska, Jacek Sobota.
Nakład: 300 egzemplarzy, oddano do druku w sierpniu 2005
Wydrukowano dzięki uprzejmości Akademii Ekonomicznej w Poznaniu
Autorzy rysunków: przeróżni.

KLUB FANTASTYKI DRUGA ERA

NUMER DEDYKOWANY PLANECIE CZASU, A TAK NAPRAWDĘ WEHIKUŁOWI